ROK I. Nr. 46. Nakład 30.000 egzemplarzy. 8 grudnia 1929 r.

7 DNI

CENA 50 GR.

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



Jedna z najmłodszych naszych Czytelniczek zastanawia się nad wyborem kandydatki, na którą ma głosować. Przypominamy przy sposobności, iż tylko 4 numery dzieli nas od zakończenia konkursu

Co słychać na świecie?

We Francji minęły dni głębokie, dni wewnętrznego skupienia i hołdu dla nieśmiertelnych cieniów zmarłego Clemenceau. Wrócono do spraw dzisiejszych, na miarę ludzką prowadzonych.

W Paryżu rozpoczęły się obrady francusko-niemieckie w kwestji zagłębia Saary. Traktat Wersalski oddał Francji na lat piętnaście zagłębie węglowe Saary, jako odszkodowanie za zniszczenie francuskich kopalń węgla. Po tym czasie — termin upływa z końcem 1935 — plebiscyt ma zdecydować czy Saara wróci do Niemiec, czy zostanie przy Francji. Dziś, po dziesięciu latach, warunki się zmieniły. Francja odbudowała swe kopalnie, ludność Saary zachowuje uczucia niemieckie, dyplomacja działa i problem Saary stanie się znowu przedmiotem targów międzynarodowych. We wstępnej potyczce Francja już odniosła zwycięstwo. W okresie gdy w Hadze decydowano kwestje reparacji i Nadrenji, Niemcy usiłowały związać z niemi zagadnienie Saary, Francja jednak stanęła na stanowisku, że jest to problem obchodzący tylko ją i Niemcy i niemający nic wspólnego z interesami sojuszników i to stanowisko swoje obroniła: rokowania paryskie toczą się między dwiema stronami. Nie znaczy to jednak, żeby kampanja była już wygrana. Problem Saary jest bardzo skomplikowany, w grę wchodzą przerozliczne interesa i walka będzie zacięta.

Rzecz wielce charakterystyczna, że Niemcy wciąż jeszcze szukają swej drogi i polityczne ich oblicze wciąż jeszcze kryje niespodzianki. Okazały to ostatnie wybory komunalne w trzech prowincjach: Prusach, Saksonji i Hesji. Wybory te w Berlinie przyniosły znaczne zwiększenie mandatów komunistycznych, z uszczerbkiem stanu posiadania socjalistów: w radzie miejskiej komuniści zajmą obecnie drugie zkolei pod względem liczebności po socjalistach miejsce; na prowincji znowu wybory przeszły niezadawalniająco dla narodowców, którzy utracili część swych mandatów na korzyść ultra-prawicowej partji. Partje polityczne w Niemczech okazują znacznie większą niż gdziekolwiek indziej płynność; każda partja ma swe centrum i dwa skrzydła: prawe i lewe, które chętnie się wiążą z grupami, stojącemi na flankach partji sąsiednich, ale to, co obecnie się stało, dowodzi, że myśl polityczna Niemiec nie jest jeszcze ugruntowana, podlega fluktuacjom i obecnie odwraca się od programów umiarkowanych w stronę programów skrajnych. Dzieje się to w momencie, w którym naród niemiecki ma się niebawem zdecydować na dobrowolne podjęcie ciężarów reparacyj swych, zredukowanych zresztą do minimum w planie Younga, czy też na ich odrzucenie *sapienti sat.*

W Niemczech żywioły skrajne zwyciężają, w Rosji sowieckiej natomiast opozycja zarówno prawa jak lewa partji komunistycznej doznaje porażki jednej za drugą. Ostatnio centralny komitet wykluczył ze swego organu politycznego, który jest właściwym rządem Sowietów, pod skromnem mianem „Politbiuro", samego Bucharina, a Rykow, prezes rady komisarzów, Tomski, Cziczerin, Litwinow zawiśli na włosku. Wszędzie sięga dyktatorska dłoń Stalina, który operując lewymi przeciw prawym i odwrotnie, doszedł powoli do tego, że wszystkich potentatów bolszewizmu strącił z piedestału i unieszkodliwił. Znikli kolejno z widowni Trocki, Zinowjew, Rakowski, Kamieniew, Radek — obecnie Bucharin. Zostaje Stalin, samodzierżny, nieugięty, niepodzielny czerwony car Rosji bolszewickiej.

Rządowi bolszewickiemu w braku chleba trzeba zwycięstw, któremi można odurzyć głowy głodnych tłumów. Wojna sowiecko-chińska wyszła z okresu kilkomiesięcznej sielanki. Czerwona armja przeszła do ofensywy i wdarła się w granice Mandżurji, nie spotykając na swej drodze większego oporu. Nadchodzą ciekawe czasy, trudno bowiem przypuszczać, żeby Japonja zgodziła się bez protestu utracić dorobek wielu lat na terenie Mandżurji. Już obecnie depesze przyniosły wiadomość o wysłaniu paru pułków japońskich do zagrożonych terenów dla obrony życia i mienia obywateli japońskich.

W dodatku i Wielkie Mocarstwa mają też coś do powiedzenia na Dalekim Wschodzie. Już dziś Anglja, Francja i Stany Zjednoczone wystąpiły do obu stron wojujących z przypomnieniem, że podpisały one pakt Kelloga, potępiający wojnę i zalecający rozstrzyganie sporów międzynarodowych środkami pokojowemi. Należy przypuszczać, że względy te powstrzymają Sowiety od dalszych kroków zaborczych, tem więcej, że głównie chodzi im o podtrzymanie wojny domowej w Chinach między Czang Kaj Szekiem z jednej, a Feng Ju Liangiem i Jen-Li-Szanem z drugiej strony oraz o utrudnienie rządowi nankińskiemu zadania zjednoczenia wszystkich prowincyj chińskich. Sprawa kolei wschodnio-chińskiej, która była wspólną własnością Chin i Rosji, i którą Chiny chcą przejąć na swą wyłączną własność jest w gruncie rzeczy tylko pretekstem, wobec tego, że Sowiety już w swoim czasie zrzekły się pretensji do tej kolei, próbując tym wspaniałomyślnym gestem zdobyć sympatje chińskie dla bolszewizmu.

Ambasador Skirmunt złożył swe listy uwierzytelniające królowi Anglji. Po raz pierwszy, w dziejach nowożytnych, pokoje pałacu Buckinghamów otwarły się przed ambasadorem polskim, który odtąd jako równy najdostojniejszym reprezentować będzie odrodzoną Polskę wobec monarchy W. Brytanji. W Stanach Zjednoczonych na kongresie złożono wniosek podniesienia poselstwa w Warszawie do godności ambasady, spełniając przyrzeczenie prezydenta Hoovera. Dla dyplomatów polskich i amerykańskich otwierają się nowe godności.

Długoletnie rokowania o traktat handlowy doszły wreszcie do tego momentu, w którym podpisanie tymczasowej — narazie — umowy wydaje się rzeczą bardzo bliską. Uregulowanie stosunków gospodarczych z Niemcami Polska musi wiązać z regulowaniem innych spornych spraw. Jeśli zgodziła się na podpisanie umowy likwidacyjnej, korzystnej dla Niemiec, to dlatego, że rozumiała, iż równocześnie zostaną załatwione problemy gospodarcze. Odroczenie rozstrzygnięcia w tych sprawach musiałoby pociągnąć za sobą postawienie pod znakiem zapytania umowy likwidacyjnej, a na to rząd niemiecki, na dość chwiejnych nogach w parlamencie stojący, zapewne nie chciałby się odważyć.

Dr. J. G.

GRUDZIEŃ

OR-OT.

Zabrzęczały srebrne dzwonki,
zabrzęczały!
Padł na pola i na łąki
Dywan biały.
Hej! Pannami sanie kwiecić!
Oczętami zmierzch roznniecić!
Palnąć z bata i oblecieć,
Choć świat cały!
Czwórka siwków zaparskała
Raźno, zdrowo!
W dal galopem poleciała
Księżycową.
Konna droga, bystre konie,
Krew młodzieńca kipi w łonie,
A te oczy! a te dłonie!
„O, królowo!"
Jak Oleńka ze swym kwieciem,
W dawne lata,
Gna panienka ze szlachcicem
Na kraj świata!
Dawne lata przepływają,
Lecz się serca nie zmieniają,
Jak kochały, tak kochają...
Palić z bata!
Czy to dzisiaj, czy przed laty,
Wszystko jedno!
„Przy twem liczku gasną
kwiaty!
Gwiazdy bledną!
Jako kwiecie dla Oleńki,
Na śmierć pójdą i na męki,
Bylem zyskał — nie broń
ręki
Ciebie jedną!
Parska czwórka, śnieg połyska,
Pojazd lata!
Już kołowrot, już wieś bliska!
Już! do kata!
Ach, jak ściska szlachcic
śmiały!
Serca wigor utrzymały!
Tak kochają, jak kochały
W dawne lata!



P. Peretti de la Rocca, dotychczasowy ambasador Francji w Hiszpanji został mianowany ambasadorem w Belgji i opuścił w tych dniach Madryt. (fot. Manuel).



Dyrektorem Depart. Politycznego na Quai d'Orsay został mianowany b. szef gabinetu ministra Brianda, p. Leger. (fot. Manuel).



Ogólne zainteresowanie wobec nowych tendencyj politycznych wywołało mianowanie na stanowisko posła sowieckiego w Londynie p. G. J. Sokolnikowa (fot. Manuel).



W związku ze zmianą gabinetu we Francji nastąpił szereg nowych mianowań na placówkach zagranicznych. P. K. Corbin został mianowany do Hiszpanji.



60-letni malarz ścienny, J. Kane, będący jednocześnie artystą samoukiem został wyróżniony za piękne pejzaże I-ą nagrodą na konkursie im. Carnegie'go.



P. Prezydent Rzplitej, prof. Ignacy Mościcki, przyjmuje z rąk p. senatora Rogowicza adres XI-go Kongresu Stanu Średniego, którego obrady odbywały się przed kilkoma dniami w naszej stolicy.

Medal pamiątkowy, który otrzymała delegacja W. P. w Ameryce z okazji uroczystości jubileuszowych ku czci K. Pułaskiego.



Zwyczajem dorocznym kompanja Szkoły Podchorążych zaciągnęła warty w noc 29 listopada w Belwederze. Kompanja, przybyła z Ostrowi, defiluje przed pomnikiem Jana III-go w Łazienkach.



Najstarszy mąż stanu Francji, b. prez. Loubet.



Popisy tanecznej pary Ney'ów, występującej obecnie w „Morskiem Oku" w Warszawie, cieszą się zasłużonem powodzeniem



Salon doroczny w Warszawie obfituje w dzieła niepospolitej wartości. Na ilustracji widzimy „Portret Damy" Rudnickiego, który został odznaczony I-ą nagrodą. (fot. J. Ryś).



Z konkursu piękności... lwiątek w Filadelfji.



Olbrzymi hydroplan angielski. Mjr. Rennie i por. Leader Rea — konstruktor i pilot.

Gwiazdka u Hersego

Pełno, rojno, gwarno... Olbrzymie parterowe salony Hersego zaciasne są na ten zwarty tłum, tłoczący się przy ladach.

— Patrz, patrz! Pulowery po dwadzieścia pięć złotych, a jakie śliczne!...

— Co mi tam pulowery!... Cały komplet trykotowy za złotych trzydzieści dziewięć! A właśnie mi się zeszłoroczna biurowa sukienka skończyła, czyli przetarła na łokciach.

— Jedwabne pończochy od pięciu złotych! A można je będzie prać?

— Piorą się doskonale, — zapewnia niezrównanie uprzejmy i niezmiennie uśmiechnięty subjekt. Zważywszy, że zapewnienie to musiał powtórzyć ze sto razy w ciągu ostatniego kwadransa, niezmienny uśmiech przystojnego młodzieńca może być uważany za szczyt zawodowego bohaterstwa.

Kolega jego w dziale torebek ma zadanie jeszcze bardziej utrudnione. Każda z kupujących chce dobrze obejrzeć torebkę zewnątrz i wewnątrz. Ogląda raz i drugi, i jeszcze sprawdza i własnym oczom nie wierzy, że już od dwudziestu trzech złotych można mieć elegancką torebkę skórzaną, pięknie wykończoną wewnątrz i zaopatrzoną we wszystkie niezbędne kieszonki, przedziałki, lusterka etc...

Parasolki jedwabne i półjedwabne, najmilszy prezent gwiazdkowy w naszym słotno-mglistym klimacie. Parasolki o wykwintnych rączkach z cieniowanego galalitu, kryte ciemnym jedwabiem harmonizującym ze wszystkiemi odmianami modnych futer i płaszczy z tweed'u.

Rękawiczki skórkowe, duńskie po złotych dziewięć groszy osiemdziesiąt! Bagatela! Nie dziw, że kogoś omal nie uduszono. Miła panienka z za lady, z buzią wielce zafrasowaną, śpieszy po wodę.

Szlafroczki, Hersowskie szlafroczki, znane ze swej wykwintnej, szlachetnie prostej linji, po złotych dziewiętnaście. Miękie, ciepłe, przytulne, ślicznie stonowane w kolorze.

— Wezmę chyba ze dwa, — mówi do towarzyszki, przystojna młoda osoba, o skupionej twarzyczce. — Taki szlafroczek to i estetyczne i praktyczne. A sukienki tak się niszczą przy zajęciach gospodarskich.

Resztki... Szalone okazje... Można wybierać, dobierać, przebierać... Drapieżne, łakome, niezmordowane rączki, ręce, rączęta i rączyska przerzucają jedwabne, kolorowe tkaniny. „I to pachnie i to nęci" jak w dziecinnej bajeczce o osiołku, co to mu „w żłobach dano w jednych owies w drugim siano". Jakże bo trudno jest się zdecydować na coś jednego, tam, gdzie wszystko jest tak ponętne i tak bardzo przystępne. Dziesięć procent ustępstwa na wszystkich wełnach, na przepysznych Hersowskich wełnach ze sztuki!...

Panowie i panie za ladą mają uroczyste miny konsyljarzy, ferujących wyroki uczone.

— Radziłbym pani dobrodziejce ten ryps tête de negre, doskonale się nosi i pięknie będzie odbijał od jasnych włosów.

— Tak pan sądzi?... Może to i racja?... — szepcze paniusia, srodze zaaferowana i kompletnie zdezorjentowana.

Racja, droga pani. Z pewnością racja. Taki pan z za lady ma dobre, wyrobione oko. Tyle w swoim życiu widział różnych tkanin i tyle, tyle zaaferowanych pań.

Największą atrakcję stanowią niewątpliwie kapelusze, naprawdę, jak darowane: od ośmiu złotych i osiemdziesięciu groszy, za nowe i oryginalne fasony. Koło lustra taki zator, że panie wspinają się na palce, aby sprawdzić ponad głowami rywalek, czy im jest do twarzy, w ośmiozłotowej, gwiazdkowej kreacji.

W dziale męskim też więcej pań, niż panów. Dobre gospodynie zapobiegliwie zaopatrują mężów i synów w okazyjne koszule, podziwiając ich piękny gatunek. Bardzo wiele pań kupuje dla swych wybranych krawaty i szaliki na szyję. Są to podarunki gwiazdkowe, które rozradują niejedno męskie serce, a może zdołają przejednać i takie, co się dotąd zdawały nieprzejednane. Kto wie?

— Widzisz, Zdzisiu te kamizelki wełniane? — mówi troskliwa mama do cokolwiek papinkowatego młodzieńca — to i ciepłe i bardzo ładne. Jakbyś tak nosił, tobyś nie narzekał na zimno w szkole. Ale ty mi wciąż wmawiasz, że ciepła kamizelka to za mało eleganckie dla ciebie.

— A wie, mama — godzi się naraz Zdziś — że te tutaj, to naprawdę ładne. Może mi mama kupić taką kamizelkę; a może i taki pulower za dwadzieścia pięć złotych. Zdziś raczył łaskawie zezwolić. Matka z trudem przeciska się do lady, bo i tu pełno. Pełno, jak wszędzie, ale nikt się na ścisk nie skarży. Wesołe roześmiane twarze.

— Nic dziwnego, że wszyscy tu śpieszą, bo też ten Herse to prawdziwe towarzystwo dobroczynności: tyle śliczności za bezcen — powiada któraś z zachwyconych klientek.

Pewnie. Bo też to jest gwiazdka. Gwiazdka u Hersego. *W.*

JUŻ ROZPOCZĘŁA SIĘ

SPRZEDAŻ GWIAZDKOWA

JEDWABIE

CREPE DE CHINE w pięknym gatunku
czarny, biały, granatowy i 39 różnych kolorów po zł. 9.80
SATIN PRINCESSE czysto jedwabny szer. 40 cm. po zł. 2.90
SATIN PRINCESSE czysto jedwabny „ 80 „ „ „ 7.80
SATIN DUCHESSE czysto jedwabny „ 80 „ „ „ 9.80
ADAMASZKI kołdrowe i podszewkowe „ 100 „ „ „ 9.80
JEDWABIE OKRYCIOWE
piękny gatunek wełny z jedwabiem
czarne, granatowe i beige szer. 100 cm. po zł. 7.80

DO SOBOTY POZA SPECJALNEMI OKAZJAMI **10%** USTĘPSTWA NA WSZYSTKICH JEDWABIACH

TRYKOTAŻE

Kamizelki czysto wełniane po zł. 23.50
Pulowery „ „ „ 25.—
Żakiety „ „ „ 27.—
Pulowery, wełna z jedwab. „ „ 29.75
Żakiety „ „ „ 33.—
Kostjumy czysto wełniane „ „ 39.75
Kostjumy „ „ „ 49.50
Cacheblouses „ „ „ 17.50

POŃCZOCHY

Jedwabne po zł. 5.75
Jedwabne prima „ „ 8.40
Fil d'Ecosse prima „ „ 5.25
Wełniane prima „ „ 10.80

TOREBKI

Portfele piękne skórzane po zł. 23.40
Różne modne fasony „ „ 29.75
Portfele czarne lakierowane 36.50

PARASOLKI

Półjedwabne w pięknym gatunku 28.50
Czysto jedwabne po zł. 48.—

KAPELUSZE

Najnowsze fasony
po zł. 8.80 po zł. 15.40

SZLAFROCZKI

Ciepłe gładkie i fantazyjne po zł. 19.—

W DZIALE MĘSKIM

Koszule białe piękny gat. po zł. 11.80
Koszule kolorowe, modne des. 16.75
Koszule smokingowe „ „ 18.50
Krawaty jedwabne, piękne des. 7.90
Kamizelki wełniane po zł. 25.—
Pulowery wełniane „ „ 25.—
Szale-chustki jedwabne „ „ 15.50

BOGUSŁAW HERSE

GENJALNY FAŁSZERZ





Alceo Dossena, genjalny rzeźbiarz, mistrz w naśladownictwie dzieł sztuki antycznej przy pracy.



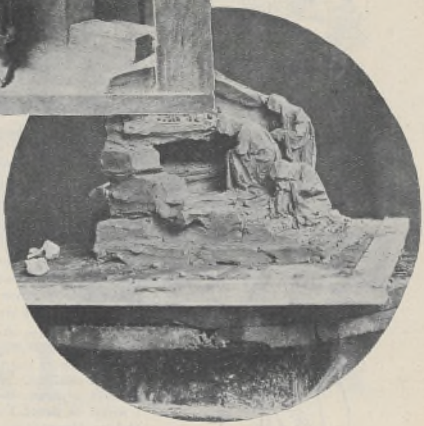
W końcu ubiegłego roku w świecie antykwarjuszy i „znawców" sztuki antycznej wybuchnął niesłychany dotąd skandal: muzea państwowe we wszystkich pięciu częściach świata i właściciele zbiorów prywatnych przeżywali ciężkie chwile; sądy badały, detektywi szukali... Okazało się bowiem, że cały szereg dzieł sztuki, wyszłych z pod dłuta starożytnych i średniowiecznych mistrzów, uznanych przez rzeczoznawców za autentyczne, a zakupionych przez różne zbiory państwowe i prywatne, jest poprostu — imitacją! Tak jest, genjalną, co prawda, imitacją, ale bądź co bądź, tylko imitacją.

Sprawca skandalu tego, *Alceo Dossena,* w rzymskiem swem *atelier* na Via del Vantaggio, przyjął wieść o wywołanem przez siebie zamieszaniu z uśmiechem i jednocześnie z oburzeniem. Uśmiechał się, gdyż zrozumiał, że oto stał się nagle sławnym i sławnym już pozostanie. Oburzyła go zaś wiadomość, że inni zarobili przez niego okrągłe 40 miljonów, podczas, gdy on sam w ciągu lat 8-u otrzymał tylko 600.000 lirów. Coprawda suma ta pozwoliłaby na cokolwiek wykwintniejsze atelier, niż na dwa puste, parterowe pokoje nad brzegami Tybru, (a i prywatne mieszkanie artysty nie wygląda lepiej!); lecz czyż Dossena nie jest artystą — a od kiedyżto artysta potrafi ciułać pieniądze?..

*

Dossena ma lat 50, lecz wygląda zaledwie na 40. Jest wysoki i smukły; w twarzy jego o wyraźnych rysach błyszczą jasne, błękitne oczy; szpakowate włosy nosi zaczesane do tyłu. Pochodzi z Cremony, gdzie przez długie lata pracował u zwykłego kamieniarza. Tam przejął powszechną u kamieniarzy Włoch północnych zręczność, w obrabianiu marmuru i lepieniu z gliny oraz nauczył się niektórych technicznych wybiegów. Uczęszczał do początkowej szkoły rysunkowej, w której ćwiczył się trochę w modelowaniu, pozatem pobierał około 10 lekcyj anatomji. Posiada też wystarczającą znajomość chemji, aby swym marmurom, bronzom i drzewu na-

(Dokończenie na str. 16).





Kilka dzieł „fałszerza" Dosseny, których najwięksi znawcy nie zdołą ją odróżnić od oryginałów dłuta mistrzów antycznych.

Z teki Jotesa

(Na marginesie procesu marjawickiego w sądzie apelacyjnym).



Oskarżony Kowalski.



Obrońca Kowalskiego mec. Śmiarowski.



Ks. Tulaba.



Jeden ze świadków, zakonnica.

BRUNO WINAWER.

Bajeczki wigilijne

Mniej więcej pod koniec listopada, kiedy mgły się szwendają po ulicach, mróz chodzi po kościach, błoto leży na flizach, latarnie i światła tkwią w czapach z kolorowej wełny, sprytni sklepikarze zawieszają dla reklamy aparaty fotograficzne i ciepłe skarpetki na małych choinkach — zawsze o tej porze roku coś mnie korci, żeby usiąść pod piecem i napisać powiastkę dla dzieci.

Sprawa wcale nie jest taka łatwa, jakby się zdawało. Metalowe ptaki latają po niebie, obrazy się ruszają i śpiewają piosenki amerykańskie, neonowe litery zapalają się nad witrynami magazynów, zwykła skrzynka drewniana powtarza, co Kiepura wyrzucił z piersi w dalekim Frankfurcie nad Menem i co publiczność krzyczała przy tej okazji, czarny krążek gada różnemi językami i deklamuje, przystanki tramwajowe świecą „od wewnątrz", jak dawniej cudowne naczynia legendowe na przedstawieniu w Operze. Nie, dziś trudno trafić na nowy, a ciekawy pomysł...

W pewnej nowelce fantastycznej Edgara Allana Poe ktoś dociera do bieguna i tu nagle spostrzega białowłosego, brodatego, sędziwego starca, który od prawieków mieszka na krańcach ziemi... Nie, owe bajki „geograficzne" skończyły się również. Pod biegunem siedzi od roku ekspedycja komandora Byrda, przesyła falami radjowemi wiadomości do dzienników amerykańskich o zdarzeniach w krajach polarnych, prasa informuje nas lepiej i szybciej, niż o wypadkach na Lesznie, w Kocimbrodzie i w Radomiu. Dotarliśmy prawie do szczytów Everestu, znamy jako tako — dzięki podróżnikom, Filchnerowi i Svensowi Hedinowi — tajemniczy Tybet, przelecieliśmy nad tundrami syberyjskiemi, nad górami Altajskiemi, wiemy to i owo o pustyni Gobi.

Samolot i sterowiec odarły glob nasz z resztek romantyzmu, z wysokiego punktu pod obłokami możemy obejrzeć, ogarnąć wzrokiem, utrwalić na kliszach, oznaczyć na mapie każdą zmarszczkę, każdy rys i dołek na obliczu starej ziemi. Niema już krain nieznanych, ludów zapomnianych, Ofirów bajecznych. „Załatwione"— jak mówią w biurach i urzędach.

Możnaby dać nurka w głębiny morskie, poględzić przy kominku o Atlantydach, zatopionych skarbach, syrenach, wodnikach, trytonach...

Niestety. Amerykanie skonstruowali niedawno pewien, bardzo mądry przyrząd techniczny, zapuszczają rodzaj sondy stalowej w największe głębie, fotografują, filmują i chwytają na gorącym uczynku życie na dnie oceanów, — na poziomie tysiąca metrów pod powierzchnią są jeszcze, jak u siebie w domu. Gdzież tu miejsce na brednie, wyssane z palca?

Doskonałą kanwą dla pilnego dostawcy powiastek gwiazdkowych był dawniej wszechświat. W takiej podróży kosmicznej można sobie było pobrykać cokolwiek, pogadać o tem, o owem, zahaczyć o planetę, skręcić, trzasnąć z bicza i wrócić na ziemię. I dziś jeszcze autor scenarjusza filmowego nabija chętnie wynajętych na dniówkę aktorów w armatę, wysyła ich na księżyc i każe im na srebrnym globie romansować albo załatwiać porachunki osobiste.

Potężne teleskopy amerykańskie, reflektory na Mount-Wilson chwytają i fotografują oddawna każdy krater, każdą dolinę, każdy cień na srebrnej tarczy. Księżyc, znamy jak zły szeląg i nie wolno nam już teraz karmić młodzieży byle czem. Lokować jakieś galaretowate stwory na starej, poczciwej Lunie — to znaczy wmawiać w ludzi, że mamuty chodzą po Ogrodzie Saskim i przedpotopowe dinosaury składają o świcie jajka pod dworcem Wiedeńskim... Nie godzi się i nie wypada.

Znacznie lepszą ujeżdżalnią dla pegazów przygodnych byłby tajemniczy Mars... Śniegi podbiegunowe, kanały, wegetacja... Ale i o Marsie dowiedzieliśmy się sporo, dzięki badaniom dzielnych astronomów współczesnych, wiemy, jaką ma temperaturę, jaką atmosferę, ile pary wodnej w rzadkiem powietrzu. Nie można tej wycieczki odbywać lekkomyślnie, bez bagażu naukowego.

Przeczytajcie zresztą dziełko genjalnego Jeansa o granicach wszechświata, a przekonacie się, że fakty, odkrycia, wyniki badań poważnych obserwacyj i wyliczeń są bardziej zdumiewające od ubogich figlików i fidrygansów, które mogłaby stworzyć wyobraźnia naiwnego bajczarza, podchmielonego poety.

Cóż więc pozostało? Duchy? Na seansach spirytystycznych wygadują takie bzdurstwa, że sprzykrzyły się nawet starszym paniom i bladym panom z małego kółka „wtajemniczonych". Napoleon gada od rzeczy w dialekcie nadwiślańskim i nie ma pojęcia o strategji, Dante zajmuje się jakiemiś błahemi sprawami magistrackiemi i kiepsko rymuje, wielcy romantycy układają dziecinne programy polityczne, mówią o walucie, o Gdyni, o pożyczce amerykańskiej, Leonardo nie umie rysować a Cezar nie wie, gdzie Rzym, gdzie Krym.

Jedynym genjalnym fantastą naszej epoki jest świetny pisarz angielski, H. G. Wells i on właśnie wymyślił ową — dla literata nieocenioną — „maszynę czasu".

Świetny wynalazek! Wyobraźmy sobie przyrząd, który cofa, odwraca bieg wypadków i odtwarza świat, jak film, puszczony „od końca". Po poniedziałku nadchodzi niedziela, po styczniu grudzień.

Ludzie są coraz młodsi, dziecinnieją, minister wkłada krótkie majtki, śliniaczek, chodzi do freblówki, sypia w kołysce i tu robi testament, przekazując majątek własnemu ojcu. Uszczęśliwiony papa otwiera sklep kolonjalny, żeni się, zostaje kawalerem, gra w klipę i „gandziary".

Tancerz na dancingu wypada ze „slow-foxa", tańczy walca, polkę „ojra", potem oberka i kontredansa. Przed automobilistą raptem wyrasta koń, jego motor sześciocylindrowy zamienia się na zwykły drewniany dyszel. Na kobietach suknie się wydłużają w sposób niepokojący, na ich głowach powstają nagle greckie koki, dziwaczne kapelusze z kwiatkami i ptaszkami. Fiszbiny sterczą ze staników, treny zamiatają posadzkę. Na wygolonych twarzach panów zjawiają się brody, wąsy, baczki. Tramwaj znika, lampa elektryczna kopci, telefon się ulatnia i plotki znosi pachciarz wiejski. Lokomotywa rodzi furgon, asfalt porasta „kociemi łbami". I tak dalej.

Ale to byłaby — mojem zdaniem — bardzo smutna bajeczka.

Przekręćmy raczej korbę maszyny i... zmiatajmy w daleką przyszłość.

Najmilszy podarunek



Na Gwiazdkę

KASETKI ELIDA

ALEKSY TOŁSTOJ.

Atramentowa plama

Spolszczył

WŁODZIMIERZ POPŁAWSKI.

Było prawie zupełnie ciemno.

Tylko ponad niedużym stołem, pokrytym szarym, poplamionym i zatłuszczonym papierem, zwieszała się naftowa lampa, słabo oświetlająca wielki stos listów i dwie chude, niezgrabne dłonie.

Lewa brała ze stosu jeden list po drugim, podsuwała go automatycznie pod duży, czerwony nos, na którym tkwiły olbrzymie szkła okularów, a po krótkiej chwili — oddawała prawej, która z kolei umieszczała go w szufladzie stołu.

Pocztmistrz Krymsin nie mógł narzekać na zbytnie przeciążenie umysłu codzienną pracą.

Segregowanie listów było dla niego zajęciem zupełnie obojętnem i niejednokrotnie pracując — zapadał w długą drzemkę, albo też odkładał robotę i siedział bezczynnie, utkwiwszy bezbarwne oczy w jeden punkt.

Obok, na brzegu stołu zawsze tkwiła nieodzowna szklanka herbaty.

Zresztą — atmosfera była przeraźliwie senna. Czy to na poczcie, czy w brudnej poczekalni małej stacyjki... Wszędzie...

W promieniu kilkunastu wiorst nie działo się nic takiego, co mogłoby chociaż na chwilę przerwać monotonję życia pocztmistrza Krymsina.

Przedwczoraj, tak, jak wczoraj, a wczoraj, tak jak...

Lewa dłoń chwyciła automatycznie małą kopertę i już chciała ją odrzucić prawej, gdy nagle... zatrzymała się.

Krymsin poprawił okulary na nosie, położył kopertę na stole i uważnie, z namaszczeniem przeczytał adres: *Jaśnie Wielmożny Pan Aleksiej Piotrowicz Timenkow, majątek Sosenki.*

Fala krwi zabarwiła zapadłe policzki. Wąskie wargi, prawie ukryte między kępkami rachitycznego zarostu, wykrzywiły się w uśmiechu.

Pocztmistrz podniósł się i mrucząc podszedł do małego, pyzatego samowaru.

— Biedactwo Liza, jak to się wysila. Zatęskniła już za swoim miłym. No, cóżeś tam nabazgrała, moja gołąbeczko...

Mamrotał, trzymając w drżących, poplamionych atramentem palcach list nad pióropuszem pary, unoszącej się nad samowarem.

Po chwili, zwilżona koperta dała się z łatwością otworzyć. Krymsin zgięty w kabłąk nad listem, czytał:

„Złoty, jedyny mój Sasza!

Cóż to za potworna męka! Wczoraj mąż, znalazł na mojej tualecie list od Ciebie. Wprost zdrętwiałam z lęku o nas oboje. Spytał od kogo mam ten list. Odpowiedziałam mu, że to od przyjaciółki. Spojrzał na mnie, ale gdybyś widział jak strasznie. Ty zresztą znasz jego spojrzenia. Sasza, ja się boję. Nie wiem dlaczego on mnie podejrzewa. Jestem przecież taka ostrożna. I tak Cię bardzo kocham. W sobotę spotkamy się na stacji. Nie wiem, jak doczekam zachodu słońca. Jak to szczęśliwie, że moja ciotka mieszka w N. Mogłabym coprawda z powodzeniem żyć bez niej, ale mój mąż cieszy się bardzo, że chcę ją odwiedzić. A więc... do soboty.

Twoja

Liza".

Krymsin złożył starannie list, schował go do koperty i wpatrzył się w złocisty płomyk naftowej lampy.

— Hm, — mamrotał do siebie — musimy dać staremu szkołę. Myśli bałwan, że skoro ma pieniądze, to już kupił wierność żony. O nie, gołąbeczku, za dobrzeby było. Szanowny pan myśli, że żona to jaki sprzęt... Ale ten Piotrowicz — no, no... Spryciarz. W jednym przedziale... ładnie wykombinowali! A ja pójdę wieczorem im się przyjrzeć... nic nadzwyczajnego, tylko popatrzeć...

Zamyślił się.

Pokiwał głową, zalepił kopertę zpowrotem i skulony na krześle, uśmiechając się złośliwie, segregował dalej listy.

Gdy już cały worek listów został rozsortowany, Krymsin nalał sobie szklankę herbaty, wylał trochę na spodeczek i popijając małemi łykami, myślał o Lizie, wpatrując się bezmyślnie w duży, atramentowy kleks czerniejący na ścianie. Ta duża, nieregularna plama, kształtem przypominająca wieloramienną gwiazdę, usadowiła się na połowie fantastycznego, bronzowego kwiatu, zdobiącego tapetę.

Krymsin wpatrywał się w nią zawsze, ilekroć umysł jego nad czemś pracował.

Autorem tej czarnej ozdoby był poprzedni pocztmistrz, który przesłużył tu 20 lat i umarł z przepicia.

Miejsce opróżnione zajął Krymsin, wyrzucony ze szkoły realnej z powodu lenistwa i tępoty.

Nie miał ani krewnych, ani przyjaciół, a koledzy prędko zapomnieli o nim.

Odkąd zagrzebał się na tej małej stacyjce, zagubionej w bezkresnych przestrzeniach stepów, gdzie najbliższa stacja-osiedle oddalona była o 30 wiorst, codziennie spotykał te same twarze kilku osób, mieszkających razem z nim na tem wygnaniu.

Naczelnik, dwaj dróżnicy, telegrafista, chude kury, grzebiące się cały dzień w piasku przed stacją i dalekie, bezkresne stepy przecięte wstęgą szosy rządowej i biegnącym w nieskończoność szeregiem słupów telegraficznych, tajemniczo, a poufnie bzykających całą dobę.

To było wszystko.

Raz na dzień, zatrzymywał się na dwuminutowy postój pociąg osobowy. Czasami, wyskoczył ktoś z wagonu i chcąc rozprostować nogi, odbywał krótką przechadzkę wzdłuż blaszanych pudeł pociągu.

Czasami ktoś szukał studni ze świeżą wodą.

Zresztą, napróżno — studnia dawno zawaliła się.

Początkowo chciał Krymsin zaprzyjaźnić się z naczelnikiem stacji i z telegrafistą, ale telegrafiście fatalnie, bezustannie chorowały dzieciaki, a papa był człekiem mrukliwym i wcale do przyjaźni nieskorym.

Wobec takiego otoczenia pocztmistrz chciał się rozpić.

Ale wódka działała na niego tak fatalnie, że pewnego razu... odcięto go od sznura.



...Krymsin wpatrywał się w nią zawsze, ilekroć umysł jego nad czemś pracował...

Wówczas, jedynie z nudów, począł otwierać listy, przechodzące przez jego ręce.

I to było jedyną jego rozrywką...

Krymsin siedział nad każdą przesyłką pocztową do późnej nocy, zatapiając się w wyczytywaniu cudzych tajemnic i w ten, nieco oryginalny sposób, poznawał życie, ludzkie sprawy i ludzkie zainteresowania.

Od tego czasu nie czuł żadnego smutku.

Ustąpiła tęsknota. Bez zazdrości spoglądał na odchodzące w dal pociągi, uśmiechając się tylko złośliwie, jakgdyby zadowolony z tego, że zna obce tajemnice, mniej albo więcej ciekawe sprawki... Doszedł zczasem do fenomenalnej wprawy, gdyż jednem spojrzeniem rozróżniał listy i kwalifikował na takie, które warto otwierać i takie, które lepiej zostawić w spokoju.

Wiedział, jak wyglądają listy urzędowe, handlowe, miłosne, podania, prywatne tajemnice.

Najchętniej otwierał Krymsin korespondencję miłosną. Sprawiała mu ona najwięcej przyjemności.

Jedne listy pisane były charakterem chwiejnym i nierównym, zdradzającym autorkę, obawiającą się tego, co robi. Inne znów nabazgrane były nieporządnie, upstrzone mnóstwem kleksów, błędów ortograficznych, przekreśleń i poprawek.

Często tkwiły w kopertach zasuszone kwiaty, jakieś gałązki, wstążki, kawałki barwnych materji, pukle włosów.

Listy te wprawiały pocztmistrza w świetny humor. Czytając je uważnie — śmiał się, aż chwiały się na nosie wielkie okulary. Z napięciem śledził za przebiegiem każdej miłosnej historji. Cieszył się i smucił zarazem z piszącymi, z tęsknotą wyczekiwał odpowiedzi, przeżywał niejako każdy z tych, bezprawnie otworzonych, listów.

Niektóre nawet przepisywał do grubego zeszytu zatytułowanego: „Pikantna korespondencja miłosna pań i panów".

Tak dalece przyzwyczaił się do badania ludzkiego życia i do zaglądania w najtajniejsze skrytki ludzkich serc, że już o niczem innem nie potrafił myśleć.

I nawet nie przeszło mu przez myśl, że są jeszcze inne środki porozumiewania się między ludźmi.

Pewnego dnia natrafił na małą, błękitną kopertę i przeczytał:

„Sasza!

Tak samo, jak prawdą jest, że słońce świeci na niebie, tak również jest prawdą, że Cię kocham. Bardzo kocham, z całego serca. Zauważyłeś kiedyś, że jestem ładna, że mam małe ręce i maleńkie, zgrabne nogi, a przecież to wszystko należy tylko do Ciebie... przyjdź i bierz"...

I tak dalej, w tym samym ,ciepłym, miłosnym tonie.

Podpis krótki, jak zwykle: „Liza".

Krymsin długo myślał o tym liście. A przecież właściwie nie było w nim nic nadzwyczajnego. Ileż takich listów przeszło już przez jego brzydkie, chude dłonie...

Z początku nie było w nich nawet cienia mowy o miłości. Ot, takie zwykłe, banalne, ale pocztmistrz już zgóry wiedział co będzie dalej.

I rzeczywiście — sprawdzało się.

Początek zawsze jest taki. Potem zaczynają się pierwsze wyznania, przysięgi, zasuszone kwiaty, zaklęcia miłosne gorącej i... wiecznej, oraz dużo, dużo pięknych, ozdobnie budowanych słów, któremi zwykle trafia się do serc młodych, kochających kobiet. Potem przychodzą fotografje, którym Krymsin przyglądał się długo a uważnie...

Tak było i z Lizą.

Pocztmistrz myślał o niej wyjątkowo często.

Któregoś dnia upił się.

Potem jednak dziwna, niczem niewytłumaczona tęsknota stała się jeszcze bardziej nie do zniesienia, jeszcze dolegliwsza.

Smutek dławił krtań.

Chciało się płakać, jak dziecku.

Właśnie wtedy przyszedł mu do głowy szalony pomysł wycięcia sobie na ramieniu imienia Lizy, a pod niem serca przebitego... strzałą.

Krwawiącą i bolesną ranę przysypał prochem strzelniczym, aby w ten sposób utrwalić rysunek na zawsze.

Listy Timenkowa otwierał również i wmawiał w siebie, że Liza pisze do niego, że on, Krymsin, jest właśnie Timenkowem, ukochanym Lizy.

Czekając na pocztę i listy, całemi dniami siedział pogrążony w najfantastyczniejszych marzeniach. Widział jakąś wielką katastrofę kolejową, z której on bohatersko wydobywa Lizę, a ona w porywie wdzięczności i zachwytu dla jego czynu, obejmuje go czule za szyję, a potem... potem całuje... usta. Marząc tak — zapominał o rzeczywistości, nie wiedział co się wokół niego dzieje, a tylko bezmyślne, spłowiałe oczy wpatrywały się całemi godzinami w czarną plamę, zrobioną w chwili pijackiego szału.

Plama ta przypominała mu całą, bezdenną pustkę i bezcelowość jego życia.

Ostatnie dni poprzedzające wyznaczoną listownie schadzkę w wagonie, Krymsin przeżył jakgdyby we śnie.

Nareszcie zobaczy Lizę. Żywą, najprawdziwszą Lizę. Bez celu błąkał się po pustych polach, a wreszcie nie wiedząc co z sobą zrobić, skrył się między chwastami rosnącemi na niewielkim wzgórku i stamtąd patrzył na wschód, skąd miał nadejść dawno wyczekiwany pociąg.

Palące słońce leniwie przesuwało się po niebie.

Pocztmistrz spojrzał na nie i mimowoli pomyślał o Lizie. Jadła teraz zapewne obiad. A może właśnie w tej chwili mówi do starego, brzydkiego męża: „Wiesz kochanie, właściwie to powinnam odwiedzić ciotkę, możebym się dzisiaj do niej wybrała, jak sądzisz?"

Mąż, zły, potwór-mąż chowa się za gazetę i milczy.

Cisza...

Śliczna twarzyczka Lizy blednie. A jeśli zabroni???

„Cóż mnie to może obchodzić, jedź sobie z Bogiem".

Serduszko łomocze głośno. Idzie do swego pokoju, aby włożyć nowe pantofelki, nowe pończoszki, wszystko nowe...

Dla niego...

Krymsin opuścił głowę i idzie w stronę stacji.

Wszedł do poczekalni pierwszej klasy. Na wielkim, brudnym piecu kaflowym wisi od dziesięciu lat, jeszcze brudniejszy, popstrzony przez muchy i zżółkły od starości rozkład jazdy.

Ktoś atramentowym ołówkiem wykaligrafował na nim: „Przez tę stację przejeżdżał Iwan Synin".

Na koślawym, zakurzonym stole stoi karafka napełniona żółtą cieczą, która ma imitować wodę, a której nikt, nigdy nie pije.

Pod sufitem brzęczą natarczywie muchy.

Krymsin zerknął na to wszystko i... poszedł dalej.

(Dokończenie na str. 22-ej).

M. B. LEPECKI.

WŚRÓD PRZYJACIÓŁ POLSKI W CHILE



Inż. Ignacy Domeyko, konsul Rzplitej Polskiej w Chile. (z lewej strony).

Admirał Carlos Froeden, minister marynarki. (z prawej strony).



Z pośród krajów neo-łacińskich bodaj największą żywotność wykazuje w ostatnich czasach Chile. Położone na południowym krańcu lądu amerykańskiego, oddzielone od centrów światowej cywilizacji olbrzymiemi przestrzeniami, zamknięte w dziwacznym, wydłużonym kształcie, posiadało znacznie mniej danych do rozwoju, aniżeli szereg innych państw bratnich. Pomimo tego Chile potrafiło wybić się na jedno z przodujących miejsc i zdobyć sobie nie tylko znaczenie mocarstwowe, ale również znaczny dobrobyt i niepoślednią kulturę. Chilijczycy słyną w Ameryce, jako dobrzy organizatorzy i dobrzy gospodarze. Na tytuły te zapracowali uczciwie. Kraj swój pocięli linjami dróg żelaznych (10 tys. klm.) i samochodowych; wielkie przestrzenie kraju, cierpiące na brak wody — unawodnili, a miasta rozbudowali i upiększyli. Gościnny naród chilijski otworzył bramy swego państwa naoścież dla tych wszystkich ludzi, którzy szukają poza granicami swej ojczyzny chleba. Nieznane tam są żadne „kwoty" ani ograniczenia. Olbrzymi kraj, dwukrotnie większy od Polski (750 tys. km²) posiada prawie siedem razy mniej mieszkańców od niej (4 i pół miljona). Przy takich stosunkach zaludnienia każda para rąk jest widziana mile.



Carlos Ibanez del Campo, prezydent Chile.

Od lat kilku rządzi w Chile prezydent, don Carlos Ibanez del Campo. Jego rodacy uważają go za męża opatrznościowego. Wyprowadził on kraj na czyste wody uporządkowanych stosunków społecznych, wprowadzając ład do wewnętrznego życia urzędów państwowych i zabezpieczając ludności spokój i bezpieczeństwo. Pod jego ,rządami kraj kwitnie, wzbogacając się pod względem finansowym, a także duchowym.

W Chile mieszka kilka rodzin polskich, które zaznają szczególnego szacunku i uznania wśród ludności miejscowej. Na pierwszem miejscu należy postawić inż. Ignacego Domeykę, którego dziad, emigrant z roku 1831, został zaproszony do Chile w celu zorganizowania uniwersytetu. Wnuk jego, inż. Domeyko, pełniący obecnie zaszczytną funkcję polskiego konsula honorowego, aczkolwiek matkę i babkę miał Chilijkę i aczkolwiek Polski nigdy nie widział, czuje się Polakiem, czego najlepszym dowodem było podjęcie się bezinteresownej pracy dla Polski.



Santiago, stolica Chile.

Wśród szeregu innych rodaków, mieszkających w Chile już od kilkudziesięciu lat, należy jeszcze wymienić: p. Janiszewskiego z Temuco, właściciela kopalni miedzi; p. Niedbalskiego z Santiago, prezesa jedynego stowarzyszenia polskiego w Chile „Ogniska"; oraz p. Świerczewskiego, geologa, który odkrył nieprzebrane wprost pokłady świetnego marmuru na jednej z wysp przybrzeżnych, zdobywając tem dla kraju i siebie olbrzymie bogactwa.

Nieliczna kolonja polska reprezentuje sobą duży kapitał wartości duchowych i materjalnych. Pozostając dobrymi obywatelami Chile, rozumie głęboką więź, łączącą ją z daleką ojczyzną zamorską. Wyrazem tego zrozumienia są próby, zmierzające do zaciśnienia węzłów gospodarczych między obu krajami. Pokonywując wiele trudności, wynikających z małego zainteresowania naszego przemysłu rynkami południowo-amerykańskiemi, zdołała stworzyć placówkę, mogącą w przyszłości odegrać rolę naszej forpoczty handlowej na terenie Chile. Mam tu na myśli dom handlowy „Poznański y Cia", założony przed półtora rokiem. Tej firmie zawdzięczamy, że Polska znajduje się nareszcie na liście państw, importujących produkty swego kraju do Chile. W kalkulacjach eksportowych trzeba uwzględnić doskonałą sytuację gospodarczą tego kraju, jego dużą zdolność płatniczą i ustabilizowaną walutę. Wreszcie bogactwa naturalne pozwalają mniemać, że proces stałego wzrastania dobrobytu nie jest zakończony i że w przyszłości możemy stać się świadkami jeszcze większego jego wzrostu. Raz nawiązane stosunki handlowe muszą w takich warunkach ulegać coraz ściślejszemu zacieśnieniu.



Już czas najwyższy

abyś poznał zalety, jakie posiada jedynie pioro wieczne
PARKER DUOFOLD

Tylko pióro Parker Duofold moze być zastosowane jednocześnie do użytku biurowego /postumentem/ jak i do noszenia w kieszeni. Wystarczy zdjąć górną pochewkę z kieszonkowego pióra Duofold i nasadzić przedłuzacz/ dodawany bezpłatnie do każdego postumentu/ - a pióro kieszonkowe przeistacza się w najmodniejsze pióro biurowe, używane dzisiaj we wszystkich poważnych instytucjach handlowych, w bankach, w biurach, w hotelach, oraz prywatnie przez wszystkich ludzi kulturalnych.
Pamiętaj! Pióro Parker Duofold posiada 47 najnowszych ulepszeń technicznych: jest lekkie, atrament spływa równomiernie, pisze bez nacisku, mimo świetnej konstrukcji nie posiada żadnych skomplikowanych mechanizmów, stalówka za uzyteczność której na 25 lat gwarantujemy, jest z prawdziwego złota, i mozna ją dobrać odpowiednio do każdego charakteru pisma, wielki zbiornik atramentu umozliwia długie pisanie bez przerwy, i wiele innych zalet.
Pióra Parker Duofold słyną z pięknych żywych kolorów, szczególnie efektownych w dobranych kompletach.
Postumenty nasze są wykonane z marmuru, porcelany, karltonu w 30 różnych rozmiarach i modelach.

Senior zł.80,— Junior zł.60—
Special zł.70,— Lady zł.55,—

Parker Duofold

Do nabycia we wszystkich pierwszorzędnych sklepach materjałów piśmiennych.
Generalne przedstawicielstwo na Polskę i na w. m. Gdańsk oraz sprzedaż hurtowa:

A. J. OSTROWSKI, LÓDŹ,
Piotrkowska, 55, tel. 3—54,
Oddział w Warszawie, Bielanska, 18, tel. 119—82

First International

Sirax
do Czyszczenia wszelkich PRZEDMIOTÓW DOMOWYCH i KUCHENNYCH jakoteż do MYCIA RĄK

NIEZBĘDNY PROSZEK DO SZOROWANIA

Do CZYSZCZENIA METALI SZYB i LUSTER tylko:
Sidol

MAURICE DEKOBRA. (2)

W kraju Maharadżów

DŻUNGLA W SLEEPING-CAR'ZE

Copyright Agence Littéraire Internationale Paris.

Każdy podróżnik europejski powinien, zanim wsiądzie do pociągu w Indjach, zaopatrzyć się w następujące dwa objekty: w *bedding* i w *boy'a*.

Bedding, czyli ekwipunek do spania, jest niezbędny; sleepingi w Indjach zawierają bowiem tylko zwykłe ławeczki. *Bedding* składa się z materaca, poduszki, prześcieradeł, ręczników, etc. Wszystko to mieści się w worku z nieprzemakalnego płótna, zajmującym tyleż miejsca, co dwustulitrowa beczka. *Boy* natomiast, to Hindus, zwinny i cwany, który towarzyszy ci w dzień i w noc, budzi cię wczas na stacjach, pilnuje twego bagażu, gdy idziesz do wagonu restauracyjnego lub do bufetu, płaci kulisom, kłócąc się z nimi zawzięcie i śpi w sieniach hotelów, wyciągnięty wzdłuż drzwi, zajmowanego przez ciebie numeru.



W wagonie restauracyjnym, na kolei hinduskiej, często ma się nieproszonego współbiesiadnika.

Dajesz mu 3 rupje dziennie (30 franków), a on miesiącami włóczy się za tobą, jak twój cień w turbanie. Gdy się rozłączasz z nim, konstatujesz, że zachował na pamiątkę po tobie starą twą koszulę i twą szczoteczkę do zębów, którą niewątpliwie będzie czyścił obuwie swego przyszłego pana. Ale nie gniewasz się nań za to, ponieważ oddawał ci istotne usługi.

Nie odżałuję chyba nigdy mego wiernego *boy'a*, Madrasajczyka o bardzo czarnej cerze, zwanego Rangaswamy, który miał w uszach przepiękne fałszywe brylanty, na palcu pierścień, wysadzony fałszywym szafirem, a pod błękitnym turbanem dwoje drapieżnych oczu. Ale była to tylko drapieżność na pokaz. Bo choć miał wąsy nasrożone i był podobny do pirata w ucieczce, Rangaswamy był najpoważniejszym i najbardziej oddanym tubylcem z wybrzeża Coromandelu. Bez niego przepadłbym gdzieś na dworcach. I dzięki niemu odbyłem bez przeszkód 14.000 kilometrów kolejami Hindostanu.

Potężna sieć kolejowa Indyj jest bowiem w stanie przysporzyć wiele sławy inżynierom angielskim, którzy ją wykonali. Pociągi są wygodne. Ale nie są podobne do naszych. Wagon składa się: z przedziału 3 klasy, która jest niszą *boy*'ów; z dwóch lub trzech przedziałów pierwszej klasy, w której są miejsca na cztery osoby, z oddzielną dla każdego umywalnią z prysznicem; z dwóch przedziałów drugiej klasy, przeznaczonych dla zamożniejszych krajowców, i wreszcie z większego przedziału, w którym jest miejsce dla samotnie podróżujących kobiet. W gruncie rzeczy zaś przedział ten jest niczem innem jak pewnego rodzaju haremem na kołach, zarezerwowanym wyłącznie dla kobiet, które uciekły z *zenany*.

Kierownikiem pociągu, czyli t. zw. *guardem*, jest przeważnie jakiś wysłużony podoficer lub Hindus, mówiący po angielsku. *Guard*, odznaczający się grzecznością bez zarzutu, odwiedza cię w twym przedziale i, nie ograniczając się tylko na obejrzeniu twego biletu, informuje wnet, jeśli nie jesteś obeznany ze stosunkami danej linji, że w X... niema hotelu, lecz że zatelegrafuje do naczelnika stacji, aby zarezerwował dla ciebie pokój na dworcu. Zarząd kolejowy w Indjach miał bowiem świetny pomysł zainstalowania na niektórych dworcach kilku pokoików dla podróżnych, za które płaci się przeciętnie cztery rupje dziennie.

Przyjeżdżasz do X... czarny od pyłu i słońca; naczelnik stacji, miły i serdeczny Hindus, przyjmuje cię, jak oczekiwanego gościa i prowadzi do twego pokoju. Jest to duży biały pokój z twardem łóżkiem (bez prześcieradeł i poduszek), z siatką przeciw moskitom (komarom), z łazienką i z olbrzymią *pankah*, którą kulis, klęczący w przejściu na zewnątrz, porusza bez przerwy. Po wielu dniach podróży koleją biała ta cela bez żadnego komfortu, wydaje się prawdziwym rajem.

Spędziłem kilka pięknych dni w tych pokojach stacyjnych, z których obserwowałem rojowiska krajowców na peronach. Tłumy, otaczające dworce kolejowe w Indjach, robią potężne wrażenie. Tak np. dworce kolejowe w Kalkucie czy Bombaju, wyglądają jak dworzec Saint-Lazare w Paryżu 14 lipca, w dzień święta narodowego. Jest to nie dające się opisać mrowisko, złożone z *topees*, różnokolorowych turbanów i z czarnych chałatów. Aby się przedostać od kasy na peron, należy przebijać się łokciami, potrącać ciemne postacie, skupione bez ruchu koło swego bagażu, lub przedzierać się przez grupy

wkrąg przykucniętych Hindusów. Milczący, zrezygnowani, robią wrażenie, jakby nie byli na dworcu, lecz w świątyni, gdzie urzędnicy kolejowi są kapłanami. Gudżeraci, Pendżabowie, Bengalowie i Tamulczycy krążą pod sklepieniem, sapiąc, protestując lub dopytując się o szczegółv jazdy.

Niektóre dworce kolejowe w Południowych Indjach są miejscem schadzek dla okolicznych małp, przychodzących tu regularnie o godzinie, kiedy przejeżdża wagon restauracyjny. Małpy te lecą przez peron, jak śpieszący się turyści, prowadzone przez stare małpisko o zadzie czerwonym, jak tradycyjny kaszkiet przewodników. Leżysz na swej ławeczce w wagonie, spokojnie wyciągnięty i zajęty lekturą, gdy nagle przez otwarte drzwi zagląda, jak inkwizytor, jakaś małpa, czekająca na jakiś zbyteczny banan lub sucharek. Gdy mu ich nie dajesz, czeka nieustępliwie, gest ubolewania z twej strony pojmując jako obrazę. A kiedy pociąg rusza, wyciąga swe wargi ku tobie, wydając jakiś dźwięk pogardliwy i, zeskakując z pociągu, biegnie za czerwoną płachtą starego przewodnika.

* * *

O ile pociągi są punktualne, a urzędnicy uprzejmi, o tyle — niestety — kuchnia zawodzi. Jest poprostu niemożliwa. Każdy wie, że kuchnia angielska nie mogła nigdy zadowolić uczniów Brillat-Savarin'a, mistrza wszystkich smakoszów Francji. Ale potrawy angielskie, sporządzane przez kucharzy hinduskich, stają się istną pokusą samobójstwa.

Trzeba być naprawdę głodnym, aby jeść w wagonach restauracyjnych lub bufetach kolejowych; trzeba być naprawdę głodnym, aby spożyć ten befsztyk czy kotlet siekany, lub ów deser z czerwonej żelatyny, tworzący *nec plus ultra* dań tropikalnych. Na obronę zarządu dróg żelaznych mogę tylko dodać, że jadło w hotelach jest przeważnie tak samo złe, jak na dworcach i w wagonach restauracyjnych.

Lecz nie mam racji, pisząc o tych drobnych szczegółach. Trzeba być wulgarnym materjalistą zachodnio-europejskim, aby się uskarżać z powodu takich drobiazgów w krainie cudownej, po której się podróżuje nie po to wszak, aby pielęgnować swój żołądek, lecz aby się nasycić wizjami estetycznemi A Bóg mi świadkiem, że Hindostan jest w stanie zadowolić największego artystę, etnografa, malarza, czy psychologa.

Oddałbym wszystkie homary, sporządzone na sposób amerykański, aby jeszcze raz zobaczyć nieskazitelne piękno Taj Mahalu, wznoszącego się w noc księżycową, jak boski poemat z marmuru, lub dziką wielkość starego pałacu z Amber, ukrytego w górach Rajputany. Zrezygnowałbym również ze szczupaka à la Chambord, by móc jeno odnaleźć idylliczną ciszę małego dworca w Południowych Indjach, dokąd zaprowadził mię raz przypadek. Widzę go jeszcze przed sobą. Był zmierzch i niebo cytrynowe nad zielonemi koronkami drzew kokosowych. Duże szare ptaki leciały między drzewami, a zebry podchodziły paść się aż pod koleiny szyn. Napół nadzy *sweeper*'zy spali wzdłuż budek kolejowych. Inni śnili o Sanatana Darma, o najwyższem ja i o Rzeczy wiecznej, odnowionej pod ramami wagonów ciężarowych. Asceci, zażarci przeciwnicy wygód, spali, jak psy, na schodkach mostu. Małe światełko dalekiej *dagoby* zabłysło nagle pomiędzy gałęziami, kiedy noc wygnała brutalnie zmierzch. Z lewej strony płonęło zielone światło sygnału; to była Teraźniejszość. Na dole, z prawej strony, stały tysiącletnie mury świątyni, płomień Ramy, inkarnacja Wisznu, to była Przeszłość.

A wąski, metalowy sierp księżyca rozlewał srebrzyste światło nad dalekim lasem, gdzie zwierzęta i ptaki nieśmiertelne wykonywały pod Krzyżem Południa swój nocny rytuał...

* * *

Trzeba będzie, gdy wrócę do Francji, znów przyzwyczaić się do naszych dróg żelaznych Będę może nieco rozczarowany, że naczelnik stacji w Marsylji nie przychodzi do mego wagonu, aby zapytać się, czy mi czegoś nie trzeba. Będę żałował utraty mego dzielnego *boy*'a Rangaswamy z kolczykami z fałszywych brylantów; będę się dziwił, nie natknąwszy się, wchodząc do sleepingu, na rozłożone ciało wiernego sługi i powstrzymam się siłą, by nie wsunąć kierownikowi pociągu pół rupji w dłoń z prośbą, by zatelegrafował i zarezerwował mi pokój na dworcu w Lyonie.

(C. d. n.).

Trzy punkty

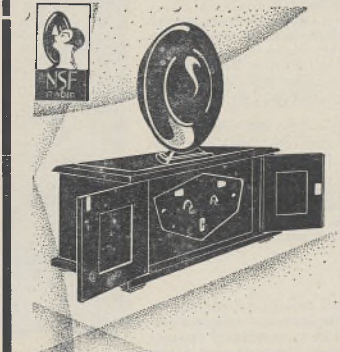


ważne są przy wyborze tłuszczu. Tłuszcz musi być: 1. czysty i świeży, 2. pożywny i smaczny, 3. wydajny i tani. Dlatego kupujcie



VITELLO
wyborowa margaryna mleczna
dla każdego gospodarstwa

Zakłady mechaniczne Katowice, Poznań, Puck, Nowa, Gdańsk 2
AMADA
Złoty medal i dyplom
POWSZECHNA WYSTAWA KRAJOWA POZNAŃ 1929.



To jest „RADJO HILVERSUM"

Tysiące robotników oraz setki najbardziej wykwalifikowanych inżynierów i techników pracuje przy produkcji holenderskiej fabryki radjoodbiorników „NEDERLANDSCHE SEINTOESTELLEN FABRIEK" w HILVERSUM.

Najlepsze maszyny i najbardziej nowoczesne laboratorja są do dyspozycji tych, którzy udoskonalają radjoodbiorniki HILVERSUM

„RADJO-HILVERSUM" to aparat znany w całym świecie ze swej czystości odbioru, wielkiej selektywności, łatwości w obsłudze i estetycznego wyglądu.

DO NABYCIA W FIRMACH WARSZAWSKICH:

ZJEDNOCZONE T-WO HANDLOWE, Zielna 46
„RADIOS", Niecała 6
„MEGOHM", Bracka 2

oraz na prowincji:

Kraków—Philradjo, Rynek Główny 9.
Lwów—W. Drabik, Sykstuska 17.
Katowice—Werka, Zamkowa 1.
Bielsko—Alschor i Zipser, Kolejowa 11.
Łódź—Audion, Traugutta 1.
Poznań—Radius, św. Marcin 62.
„ —M Pachulski, Pl. Wolności 11.
Przemyśl—Unger i Rebhun, Mickiewicza 5.
Toruń—„Auto-Radjo-Skład" Mostowa 36.

i we wszystkich większych miastach Rzeczypospolitej



TAKIE NOSY KORYGUJE

skutecznie nasz aparat do formowania nosa „Zello Punkt", nie wywołując nieprzyjemnego uczucia. Kto nie jest zadowolony z kształtu swego nosa, z całą pewnością spodziewać się może zmiany. Specjalnie u kobiet działają nieforemne nosy odstraszająco.

Radzimy przeto przez całą noc (lub także podczas dnia) stosować nasz aparat do formowania nosa, skonstruowany nadzwyczaj celowo.

W danym wypadku rozchodzi się o aparat ortopedyczny, skonstruowany na podstawie naukowej, przy współpracy wybitnych lekarzy. Aparat posiada miękkie wysłanie i wykonany jest ręcznie. Już po kilku tygodniach otrzymuje nos piękny i normalny kształt. Rzecz prosta, że skutek jest pewny tylko wtedy, jeśli aparat stosuje się regularnie przez czas dłuższy. Liczne listy, pełne uznania, świadczą o skutkach, graniczących wprost z cudownością. Aparat można zastosować do każdego nosa.

Komukolwiek zależy na estetycznym wyglądzie swej twarzy, ten nie pominie okazji, by poprawić kształt swego nosa zapomocą naszego aparatu, a to tem więcej, że kuracja nie jest połączona z jakimkolwiek bólem.

Aparat do formowania nosa „Zello Punkt" chroni przed naśladownictwem patent Rzeszy Niemieckiej Nr. 321731. Aparat nasz posiada 6 regulatorów precyzyjnych i wysłany jest gąbką skórzaną. Nadaje on chrząstkom, podlegając wpływom ortopedycznym, kształt normalny (nie błędom w budowie kości). Wspaniale wypadło pod tym względem, między innemi, orzeczenie radcy dworu prof. med. von Eck. Notarjalnie poświadczone dowody skuteczności naszego aparatu przesyłamy gratis.

Cena zł. 16.50. — Wysyła za pobraniem pocztowem:

B. PRUSIEWICZ, Poznań, Młyńska 9.

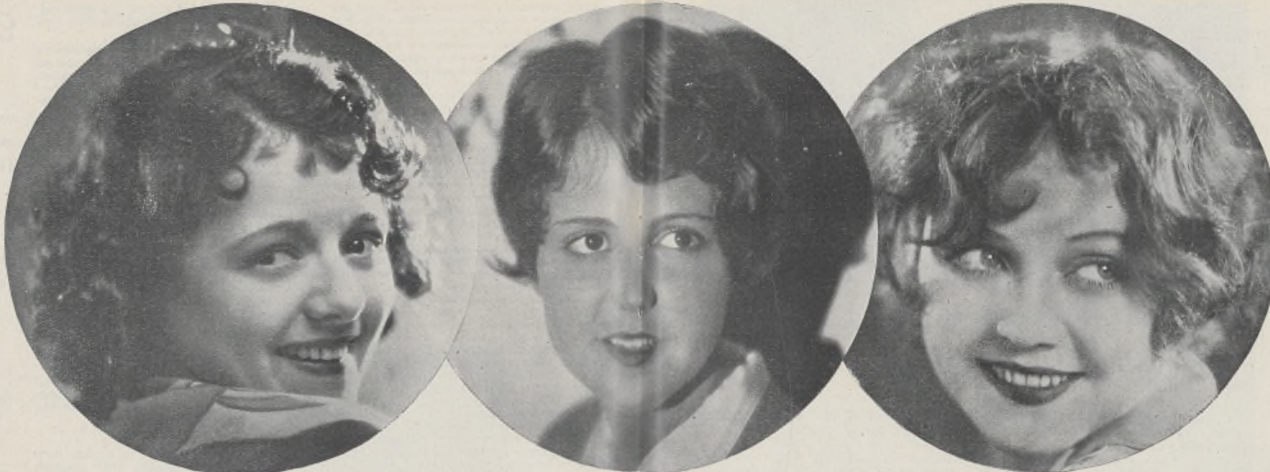
SEX APPEAL

Jak to przetłumaczyć? Zew płci?— pompatycznie i ciężko, kiedy chodzi o rzecz tak nieuchwytną, choć potężnie oddziaływającą, o pewien urok specyficznie od płci zależny, o pewien czar kobiecy u kobiety, męski — u mężczyzny.

Sex appeal! „Owo coś" — czasem zwane „pieprzykiem" — u subretki; „das ewieg weibliche" u białogłowy XVIII wieku, „coś", co nie jest zależne od urody takiej czy innej; od cech charakteru, dobrej budowy ciała — ale właśnie od zespołu tysiąca czynników — bądź wrodzonych, bądź przez największego wynalazcę wszystkich czasów — kobietę — odkrytych i wypracowanych.

Rzeczy starej jak świat, a jednak wiecznie nowej.

*



Piękności ekranu: Janet Gaynor, Sue Carol, Nancy Carol z wytwórni Foxa, czarują publiczność swym wabikiem.



Uosobienie „Sex appealu", czarująca Clara Bow z uśmiechem poskramia srogiego byka.

Nie musielibyśmy się oczytywać „Iliadą" w 4-tej klasie, gdyby Helena trojańska była pozbawiona swej przedziwnej właściwości; nie przesiadywalibyśmy godzinami po kinach, wpatrując się nieprzytomnemi oczyma w Gretę Garbo; nie robilibyśmy — rozsądni mężczyźni — tysiąca cudownych głupstw, gdyby nie „to" — nieuchwytne, a niewątpliwie istniejące, wszechobecne i niezwalczone.

*

Kino — to państwo udzielne sex appeal'u.

Nie urodzie klasycznej, nie swej nieposzlakowanej budowie ciała, nie wysportowaniu, a w żadnym razie nie artyzmowi zawdzięczają te wszystkie słodkie kobieciątka amerykańskie, te wszystkie tajemniczego uroku pełne „misterious ladies" ekranu, te wampirzyce wreszcie, swoje oszałamiające powodzenie. Z płótna ekranu promieniuje ich specyficzny „czar płci", ów nieuchwytny „sex appeal".

Co więcej! — Kino dało prawo obywatelstwa „sex appeal'owi" męskiemu, kino wprowadziło do języka potocznego wyrażenie i pojęcie „100% mężczyzny"; pojęcie (o czem dotychczas śniły dziewczątka) jest omawiane, roztrząsane i oceniane! Nie wchodzę w to, czy źle się stało, czy dobrze. Po prostu — tak jest.

*

Królową sex appeal'u jest niewątpliwie Greta Garbo. Ta cudowna szwedka o grzesznych ustach i niewinnych oczach zasługuje na swego biografa i poetę. Zawiera w sobie ów sex appeal tak skoncentrowany, tak stężony, że bardzo niewielu mężczyzn może oprzeć się jego promieniowaniu.

Powiedziałbym nawet, że jest to sex appeal wyższego rzędu: — zawierający zarówno pierwiastki duchowe, jak i fizyczne i dlatego oddziaływa na każdego i na każdą odmiennie.

Za Gretą Garbo — nieskończony szereg innych. Podobny do niej — z punktu widzenia sex appal'u — typ przedstawia Brygida Helm.



Czarowi „Sex appeal..'u" ulega nawet robotnik na n-tem piętrze drapacza chmur („Life").

Tu jednak będzie już „niższy" gatunek sex appeal'u. Najbardziej popularna aktorka Ameryki — Clara Bow (Greta jest na drugiem miejscu) — posiada inne „coś", za którem szaleje kraj obłąkanego tempa i zmechanizowanych, standaryzowanych odruchów.

*

Lekka używka ekranu wsącza się od lat niepostrzeżenie i nieustannie w nasze żyły.

Jesteśmy już poniekąd „zatruci" tym nieodłącznym składnikiem naszego życia.

Powietrze, poza tlenem, azotem i innemi dotychczasowemi składnikami, zawiera — szczególnie wieczorem — katalizator K. I. N. O., przy którym spółżycie tych składników inaczej się układa.

Tą zdradziecką drogą wchodzą czarujące kobiety z filmu do naszych skromnych mieszkań; w ten zdradziecki sposób wzmaga się znaczenie sex appeal'u w naszem życiu codziennem. I oto zachodzi szereg, początkowo drobnych, później już wyraźniejszych i bardziej dostrzegalnych zmian.

Kobieta poczyna dobitniej rozumieć znaczenie sex appeal'u i obraca pewną część swego czasu i zainteresowań na niektóre (wielkiej wagi!) drobnostki, potęgujące jej urok kobiecy (gdzieś w głębi nosi obraz jakiejś Crawford czy Caroll, które świadomie, czy nieświadomie kopjuje); — mężczyzna staje się tępszy i mniej wrażliwy na inne — bardzo szacowne — cechy białogłowy i... oto temat dla moralisty, malarza obyczajów powojennych i t. p.

*

W każdym razie „spółczesna kobieta" — to, mojem zdaniem — prawdziwa bohaterka. Jakież niesłychane wymagania jej stawiamy. Musi być żoną, kochanką, przyjaciółką, matką, pracownikiem — a przedewszystkiem — kobietą.

Musi umieć pracować jak mężczyzna i nie wolno jej stracić ani odrobiny ze swego „sex appel'u". Dom, gospodarstwo lub praca zarobkowa, a czasem jedno i drugie, a przy tem wszystkiem dbałość o swój urok wewnętrzny i zewnętrzny, kokieterja w najlepszem tego słowa znaczeniu — właśnie wobec męża — czy to nie za wiele, jak na siły jednej słabej niewiasty?

Musi być w ciągłem napięciu, musi myśleć o tysiącu rzeczy jednocześnie, a dla mężczyzny — męża czy kochanka mieć twarz pogodną i wesołą. Mężczyzna, po powrocie do domu odpoczywa, zrzuca maskę biurową, adwokacką, czy lekarską: żonie — nie wolno.

Może ją tylko zmienić na inną, bardziej dostosowaną do gustu męża. Takie są wymagania sex appel'u, skombinowane ze stanowiskiem kobiety.

Nie! — Dzięki, o Panie, żeś mnie nie stworzył kobietą...

*

A w tysiącach kin, na obydwu półkulach, w upalny hawajski wieczór, czy w mroźną grenlandzką noc, twarze białe, czarne i żółte, poorane zmarszczkami i ledwie pierwszym puchem zarostu okryte trwają bez ruchu, zapatrzone w ekran.

Co to? Czy sama piękność twarzy lub sylwetki, co się wyłania z ekranu? Czy gra artystek na miarę największych gwiazd świata? — Nie. — To przedewszystkiem czar „Sex appeal'u"...

Bobby.



„Stuprocentowy" młodzian ulega kuszącemu czarowi pięknej Grety Garbo.









Oto jak wyglądają wielkie bulwary w Paryżu w chwili największego ruchu kołowego.
(fot. General Motors).

KAZIMIERZ KUKUCZ.

MIASTO, KTÓRE OGARNIA PARALIŻ

(Koresp. własna z Paryża)

Z jakim to entuzjazmem, z jakim impetem powojenni poeci sławili nowego boga, boga szybkości. Nauczyli nas podziwiać subtelną konstrukcję maszyny, chłonąć roskosz piorunującego przenoszenia się z miejsca na miejsce, wsłuchiwać się w pieśń kół samochodowych, skandujących rytmicznie frazy na brukach i szosach miast i wsi.

Tymczasem...

W miarę, jak naszą epokę opanowuje prawdziwy szał ruchu i szybkości, na horyzoncie pojawia się groźba unieruchomienia i bezwładu, która rośnie z przerażającą szybkością.

Już dziś największe miasta duszą się od tej obfitości wszelkiego rodzaju pojazdów i wehikułów benzynowych, które doprowadziły do niebywałego utrudnienia, a często wprost do uniemożliwienia wszelkiego ruchu.

Nad Paryżem, Londynem, New-Yorkiem zawisła, jak zmora, groźba paraliżu, jeżeli w najbliższym czasie radykalne środki zaradcze nie zostaną podjęte.

Nic tu nie pomagają papierowe nakazy i zakazy, które okazują się tylko paljatywami. Niewiele, albo nic nie pomaga dokonywanie rozpaczliwych wysiłków, by przez różne przepisy wzmóc tempo i swobodę wielkomiejskiego ruchu. Wprowadzanie komunikacji jednokierunkowej, zakazy pozostawiania samochodów na jezdni, aby ulica nie zamieniała się na garaż, nie dają prawie żadnego rezultatu. Owszem, ruch odbywa się z matematyczną prawie regularnością, ale coraz bardziej... coraz bardziej powoli.

Sytuacja staje się nieprawdopodobnie paradoksalna. Przestrzeń, jakich półtora kilometra, na wielkich bulwarach w Paryżu, w chwilach największego nasilenia ruchu w godzinach popołudniowych, przestrzeń, którą pięćdziesiąt lat temu dawne omnibusy konne przebywały w ciągu ośmiu minut, na tę przestrzeń dziś najszybsze autobusy potrzebują zgórą pół godziny.

Zupełnie niewiarogodny rezultat.

W czasach, gdy samoloty rozwijają szybkość 500 kilometrów na godzinę, a samochody 200 i więcej, najpewniej i najszybciej można dojść do celu



Największa arterja komunikacyjna świata, Champs Elysées w Paryżu.
(fot. General Motors).

starą modłą „per pedes apostolorum". Przynajmniej w pewnych okolicznościach i w pewnych godzinach dnia.

W warunkach życia, w przyzwyczajeniach i obyczajach ludności wielkich miast, dokonuje się przewrót zupełny. Maszyna schwytała człowieka w kleszcze i jak wampir sączy z niego żywą krew.

Weźmy jako przykład, jak upływa dzień pracującego Paryżanina...

Wyrzucony z łóżka wcześnie rano, wchłonąwszy na prędce śniadanie, biegnie do najbliższej stacji metra czy autobusu albo do pociągu, jeśli mieszka na przedmieściach . Tu wszędzie już oczekują go nieskończone ogonki. Traci dziesięć, piętnaście minut drogocennego czasu i odtąd już cały dzień będzie latał, by nadrobić czas, stracony na komunikację. W wagonach kolejki podziemnej, w autobusach nieprawdopodobny tłok. Przysłowiowa beczka śledzi jest niczem w porównaniu z tem. Zziajany, zmiętoszony, potłuczony wyskakuje i pędem leci do biura. W nerwowem podnieceniu będzie pracował do godziny 12-ej. Wychodzi na obiad i znów powtarza się męczące zdobywanie miejsc: w metrze, w autobusie, w tramwaju, w restauracji...

Ale to wszystko jeszcze nic. Prawdziwe piekło rozgrywać się zacznie koło godziny piątej, szóstej popołudniu. Tysiące, setki tysięcy wychodzą w tym samym czasie z biur, fabryk i sklepów. Olbrzymie fale ludzkie zalewają wszystkie ulice, tłoczą się w podziemiach metra, wystają na przystankach tramwajowych i autobusowych, podmywają dworce paryskie. Człowiek się niecierpliwi, dostaje napadów białej gorączki. Autobusy, jeden za drugim przepełnione, nie zatrzymują się nawet. Taksówki wszystkie już dawno zajęte i można iść pół kilometra, nim się znajdzie wolną. W metrze panuje zatruta wyziewami atmosfera i rozgrywają się prawdziwe bójki i nieustający szturm do przepełnionych wagonów. Zabójcza powolność w atmosferze ciągłego, nerwowego podniecenia. Zaledwie skończy się niesłychanie męczący kurs metra, ta sama historja powtórzy się na dworcu kolei podmiejskiej.

Gdy wreszcie w półtorej, w dwie godziny (!) po opuszczeniu biura wraca się do domu, traci się ochotę do wszystkiego, do jakiejkolwiek pracy osobistej, a nawet rozrywki. Odczuwa się już tylko nieprzezwyciężone pragnienie wdziania pantofli i położenia się do łóżka. Jeśli sprawy pójdą tym trybem dalej, Paryżanin będzie się musiał odzwyczaić nawet od spania, a wszelka myśl o chwili czasu wolnego, o samotności, o oddawaniu się kontemplacji trącić będzie śmiesznym anachronizmem.

Niema dziś chyba ważniejszego zagadnienia w Paryżu, jak kwestja komunikacji. Ponieważ dotychczasowe środki zaradcze nie dały odpowiednich rezultatów, poszukuje się innych, zakrojonych na nieznaną dotąd skalę. Urbaniści, architekci występują z projektami przebudowy miasta. Jedni proponują budowę podziemnych jezdni dla ruchu kołowego, inni znów konstrukcję napowietrzną linij komunikacyjnych. Ale to wymaga czasu i pieniędzy. Na bliższą metę obliczone są takie środki, jak zniesienie tramwajów, zawalających ulice, rozszerzenie ulic, budowa garaży-olbrzymów na wolnych terenach w centrum miasta, aby pozostawione na jezdni wozy, nie tamowały ruchu ulicznego.

Wszystkim już mieszkańcom nadsekwańskiej stolicy dopiekły do żywego obecne stosunki. Opinja publiczna podnosi larum. Blisko 100.000 samochodów tłoczy się na ulicach i placach Paryża. Ludzie odpowiedzialni zachodzą w głowę, jak znaleźć miejsce dla nich wszystkich.

A musi się coś wymyśleć i coś zrobić, inaczej prędzej, czy później pójdzie w świat sążnista wiadomość z takimi sensacyjnemi tytułami:

„Straszne morderstwo! W Paryżu ruch skonał z uduszenia! Sprawcy nieuchwytni!"

Jedynym wówczas, najszybszym środkiem lokomocji będzie ruch pieszy. Nasze zaś dzieci będą opowiadały swoim dzieciom przy kominku, jak to kiedyś, gdy się komuś śpieszyło, brał samochód...





GENJALNY FAŁSZERZ

(Dokończenie ze str. 5-ej).

dać tę specjalną patynę, której nie rozróżni ani mikroskop badacza, ani najbardziej doświadczony język znawcy.

Nawiasem powiedziawszy, Dossena, jako cremończyk, robił też prawdziwe stare skrzypce cremońskie, w których nikt nie rozpoznał imitacji. Bóg jeden wie, gdzie wszędzie na świecie skrzypce te się znajdują!

Dossena jest też architektem i w jakimś zakątku w Abbruzzach zbudował kościół, utrzymany całkowicie w starym stylu, począwszy od murów, a skończywszy na rzeźbach.

— I czy moja w tem będzie wina, — pyta Dossena — jeśli kościół ten zostanie potem sprzedany do Ameryki, jako autentyczny zabytek starożytny, tak, jak to uczyniono z romańską niszą okienną o pięciu metrach średnicy, a która obecnie zdobi muzeum po tamtej stronie Atlantyku?

Nie, nie będzie w tym jego winy, gdyż Dossena nie może być odpowiedzialnym ani za zaślepienie ludzi, ani za swój genjusz, dzięki któremu z równą łatwością rzeźbi archaiczną grupę posągów, jak delikatną główkę Donatella.

Dossena nie jest też winnym, jeśli wyłącznie na mocy jego dzieł w międzynarodowym świecie artystycznym przekonano się i pisano o tem książki, że Simone Martini z Sieny, delikatny prymitywista, był nie tylko malarzem, lecz i rzeźbiarzem. Dossena podpisywał swoje kamienne i drewniane posągi Madon fantastycznemi inicjałami S. M. Styl posągów podobnym był do Simone Martini, lecz Dossena nigdy nie twierdził, że chciał go imitować.

Stworzył on też zupełnie nowy rodzaj starożytnego stylu. W atelier artysty leży jeszcze niedokończona postać kobieca, należąca do znajdującej się w Monachjum grupy, o której też pisano rozliczne broszury.

Gdy się spytać Dossena, jak on to robi — wzrusza tylko ramionami i odpowiada poprostu: — Cosi (tak sobie). Lecz nie dla każdego byłoby to równie proste. A odbywa się to mniej więcej w sposób następujący: do Dosseny przychodzi antykwarjusz i mówi mu:

— Mój drogi, potrzebny mi jest mały, cztero-figurowy ołtarz. Czas pochodzenia około roku 1450, miejsce — Peruggia. Kiedy mogę go mieć?

Wówczas Dossena udaje się do jednego z małych muzeów w miasteczku prowincjonalnym i wyszukuje sobie jakieś dzieło, podobnie skatalogowane. Przygląda mu się długo, poczem jedzie do domu i najpierw ulepia z pamięci dokładną kopję dopiero co widzianej rzeźby. Potem kilkoma mocnemi uderzeniami pięści robi z modelu bezkształtną bryłę gliny, bierze kawał marmuru i na tyle ma już w palcach potrzebny mu styl, że bez rysunku i bez modela wydobywa wprost z kamienia żądane przez antykwarjusza dzieło. Jest to zupełnie coś nowego, bynajmniej nie kopja, ale posiada ten sam styl.

Styl Dosseny, a raczej jego style, są tak absolutnie prawdziwe, że, gdy fałszerstwo wyszło na jaw, oszukani rzeczoznawcy sztuki udawali obrażonych i mówili, że cały ten skandal jest umyślnie zrobiony i że Alceo Dossena jest poprostu chciwym sławy głupcem. I dopiero Dossena musiał wyszukiwać w swem „atelier", wśród stosów marmurowych gruzów, różne nosy, palce i odłamane fałdki ubrań, brakujące na posągach i dowieść, że odłamki te pasują dokładnie do całości.

Dossena nigdy swych dzieł sam nie sprzedawał; wypełniał jedynie obstalunki dwuch antykwarjuszy: jednego rzymianina i jednego florentyjczyka. Znali go obaj jeszcze z czasów, gdy Dossena mieszkał w Cremonie i z trudem przebijał się przez życie, robiąc kamienne gzymsy i ramy okienne, a od czasu do czasu stare skrzypce cremońskie lub małe popiersia. Ponieważ nie zapierał się wcale, że to on był ich twórcą, otrzymywał za nie tylko niewielkie sumy. Antykwarjusze przedewszystkiem odzwyczaili Dossenę od podpisywania swych dzieł. Poczem, stosownie do zawartego układu, odkupili od niego całkowitą jego przyszłą produkcję i pozwolili mu pracować tylko ściśle według danych wskazówek. Pilnowali i śledzili go dokładnie z przemocą swej, szeroko rozgałęzionej, tajnej organizacji. Ulegali jego sympatji do cyganerji, prowadzili do najlepszych knajp, sprowadzali ładne kobiety — słowem, wszystko robili, co tylko możliwe, aby nie dać artyście dojść do opamiętania.

Obaj antykwarjusze oddawali prace Dosseny w komis jakiemuś, mniej znanemu koledze, który je wystawiał i pierwszy załatwiał nabywców.

— Czy to dzieło jest autentyczne?

— Nie wiem, proszę pana, ja je kupiłem za prawdziwe.

Jeśli kupujący wracał, to antyk był już niby sprzedany jednemu z dwuch głównych antykwarjuszy. Tu komedja powtarzała się od początku:

— Czy ta rzeźba jest prawdziwym antykiem?

— Nie wiem, proszę pana, lecz ja ją za taki uważam i nabyłem!

Nabywca sprowadzał rzeczoznawcę. Rzeczoznawcy o najpierwszych w świecie nazwiskach, którzy oglądali i oceniali dzieła Dosseny, uznawali je *zawsze* jako prawdziwe, a nawet potwierdzali to piśmiennie.

Z łatwością mogło się więc zdarzyć, że staro-gotycka rzeźba w drzewie Dosseny sprzedana została pewnemu francuzowi za 1 miljon, przez francuza jednemu amerykaninowi za 2 miljony, przez amerykanina odprzedana zpowrotem antykwarjuszowi za 2 i pół miljona, aby w końcu osiąść w prywatnej galerji amerykańskiej 3 miljony. Gdy sprawa fałszerstw stała się głośna, żona właściciela galerji przyszła do Dossena z fotografją dzieła i spytała:

— Zna pan to?

— Owszem — odparł Dossena, — ja tę rzeźbę robiłem.

— Co pan za nią otrzymał?

— 10.000 lirów.

— A ja zapłaciłam 3 miljony!

Nie zebrał więc biedny Dossena majątku. Ale muzea i zbiory prywatne, które mimowoli zostały przez niego oszukane, mają prawo czuć się jeszcze bardziej pokrzywdzonemi. Pewne amerykańskie muzeum zakupiło za sumę 100.000 dolarów, jako prawdziwego Mino da Fiesole, marmurowy grobowiec z leżącą figurą mniszki; muzeum w Cleveland — Madonnę z Dziecięciem, jako oryginał Giovanni'ego Pisani; niemiecki jeden zbieracz kupił złoconego anioła, z parapetu pilastrowego, niosącego świecznik, w stylu wczesnego, florenckiego renesansu; a jakiś wenecki miłośnik sztuki nabył za 2 i pół miljona lirów marmurową płaskorzeźbę, przedstawiającą Madonnę z Dziecięciem i ze świętą Elżbietą w adoracji.

Wogóle Dossena, do niedawna jeszcze zupełnie nie znany, zasypywany jest teraz zamówieniami, a szczególniej liczne napływają z Ameryki, tej samej Ameryki, która najbardziej została przez niego pokrzywdzona! Wszyscy żądają, rzecz prosta, aby Dossena nadal nie był sam sobą, lecz naśladował pewnych określonych mistrzów. Ktoś, np., urządzający sobie w południowej Kanadzie domek myśliwski, zapytuje, czy Dossena nie posiada na składzie Michała Anioła lub czy mógłby coś podobnego dostarczyć, w ciągu jakiego czasu i za jaką cenę. Ktoś inny z Louisville pragnąłby mieć popiersie córki w stylu Lucrezi Borgia i dowiaduje się, czy artysta potrafi uchwycić podobieństwo tylko na podstawie fotografji. Baron Fassani zamówił u niego własne popiersie, jak również krewny króla, książę d'Aosta. Książę don Flavio Borghese przysyła po mistrza swe eleganckie auto, aby sprowadzić go do siebie i obstalować portret księżny w kostjumie wczesnego Renesansu!

Niedawno też znalazł Dossena uznanie i w swym rodzinnym mieście. W Cremonie podczas wojny znajdował się obóz jeńców, węgrów i austrjaków. Otóż miasto, wbrew przyjętemu powszechnie zwyczajowi stawiania pomników wyłącznie swym poległym, postanowiło jednocześnie uczcić pamięć wrogów, zmarłych w jego murach. Projekt Dosseny został nagrodzony i zupełnie zasługuje na odznaczenie.

Za dowód, jak bardzo cenione jest obecnie imię Dosseny w całym świecie, nietylko artystycznym, służyć może fakt, iż „oszukani" posiadacze rzeźb jego zwracają się do mistrza z prośbą, aby prace te podpisał swem *własnem* nazwiskiem i hojnie go za to wynagradzają! Również w sprzedaży dzieła Dosseny, noszące podpis twórcy, osiągają wyższą cenę. Wobec takiego uznania, czy godzi się nazywać Dossenę „genjalnym fałszerzem"? — może raczej „„fałszywym genjuszem"? A może poprostu — Genjuszem?!

„Cała Warszawa“

Nowa rewja w „Morskiem Oku“.

Bardzo barwne i miłe dla oka widowisko. Postarała się o to zwłaszcza art.-mal. Jewniewiczowa, roztaczając zachwycającą symfonję kolorów, ilustrujących jej pomysłowe inwencje dekoracyjno-kostjumowe. Stworzyła tem samem piękne ramy dla rewji, pełnej atrakcyjnych powabów. Wszystkiego tu poddostatkiem: i tańca, i śpiewu, i nowych melodji, i humoru. Dyr. Włast umiał zręcznie to wszystko powiązać w zajmującą całość.

Ujrzeliśmy poraz pierwszy na tej scenie sporo młodych sił: bardzo zgrany i dobrze wyszkolony duet Ney, równie ponętną, jak inteligentną „commère“ Piaskowską, niezłą tancerkę (lecz mierną śpiewaczkę) Żelichowską, cieszącą się niemałem powodzeniem, szczególnie za swą pełną pikanterji aparycję. Ponadto — szereg młodych sił męskich z Jerzym Rolandem na czele.

Owe liczne debiuty sprawiają, że dawniejsze filary „Morskiego Oka“ nie posiadają tym razem dostatecznego pola do popisu. Dotyczy to zwłaszcza sióstr Halama. Jednakże Zizi zdołała błysnąć swą subtelną „falistością“, tańcząc z nieodpartym i fascynującym wdziękiem (bo talent wyróżni się nawet w małych rzeczach), Alicja dobrze spisała się w kilku małych solówkach, Loda zaś ma rację, gdy śpiewa „To nie dla mnie“. Spodziewamy się, że w następnej rewji będzie miała odpowiedniejsze pole dla wykazania swych niepowszednich zdolności. Coraz piękniej rozwijają się zdolności akrobatyczne Antoszówny.

Niedostatecznie spożytkowano również artystki tak lubiane, jak Sokołowską i Gabrielli. Zato Karlińska była znów w swoim żywiole, gdy uwijała się wdzięcznie na widowni, częstując „cocktailami“. Robiła to z przemiłym wdziękiem. Ponadto stwierdzić wypada kilka dobrych kreacji Olszy, Waltera, Kucharskiego i Sempolińskiego, który rewję reżyserował, oraz powodzenie, którem się cieszył „jazz“ fortepianowy w świetnem wykonaniu Boruńskiego i Warsa.

Finały, zwłaszcza „ogniowy“ — bardzo efektowne. „Girlsy“ pod wodzą Woycieszki robią postępy, ale do doskonałości bardzo im jeszcze daleko. Dużo nowych pięknych melodji, których walory uwypukla dobre wykonanie orkiestrowe pod kierunkiem dyr. Nawrota. Rewja zasługuje w zupełności na to, aby ją obejrzała rzeczywiście „Cała Warszawa“.

H. Liński.



Efektowna scena finału I-go, „W ogniu piekielnym“. Po środku p. Janina Sokołowska. *fot. Brzozowski.*

Znakomity tenor polski JAN KIEPURA podczas koncertu, nadawanego w Radjo w Frankfurcie n/M. najlepiej był słyszany na najnowszym aparacie 3-lampowym „TRÓJCE GŁOŚNIKOWEJ“ „WSZECHRADJO“ — bo bezpośrednio z Frankfurtu a nie przez transmisje, oraz dzięki wyjątkowej selektywności tego aparatu.

„TRÓJKA GŁOŚNIKOWA“ W. R. W. typu A. do baterji i akumulatora w pełnym komplecie z głośnikiem 385 zł. Typu B. na sieć prądu zmiennego z głośnikiem 650 zł.

„TRÓJKA GŁOŚNIKOWA“ W. R. W. zapewnia odbiór 25 stacji zagranicznych na głośnik.

Najnowsze modele aparatów radjowych 1930 r. Wyroby tylko pierwszorzędnej jakości polecają Zakłady Radjotechniczne

„WSZECH-RADJO“

Pierwsza Kraj. Wytw. Apar. Radjowych.
Salon demonstracyjny, dział sprzedaży i biura
Warszawa, Al. Jerozolimska 14, t. 421-31
Sklep sprzedaży detalicznej
Warszawa, Marszałkowska 123, tel. 38-67

Najniższe ceny. Życzącym na długie spłaty. Solidna obsługa. Demonstracje cały dzień.







J. J. RENAUD

6)

CZARNA SZPILKA

(Copyright by „7 DNI").

STRESZCZENIE POPRZEDNICH ROZDZIAŁÓW.

Banda okrutnych opryszków, pod wodzą niejakiego Héblis, napada i morduje najrozmaitszych wynalazców, zdobywając w ten sposób ich plany. O swym napadzie uprzedzają ofiarę przy pomocy szpilki, wyobrażającej głowę murzynki, otoczoną czterema ramionami. Jest to znak bogini śmierci — Kali. Pewien młody człowiek, nazwiskiem Barnèze, wstąpił na służbę do policji śledczej, by zdemaskować bandę, której ofiarą padł jego ojciec. Héblis porwał Lucynę Mouriade, wdowę po wynalazcy, by zdobyć plany oraz aby móc dostać w swe ręce Barnèza. Wymusza na p. Mouriade, by naznaczyła schadzkę Barnèzowi w kawiarni Doury. Barnèze przychodzi, lecz role się zmieniają i Héblis wraz ze swą bandą wpadają w jego ręce. P. Mouriade ocalona. Barnèze udaje się do innej ofiary Héblis, p. Durbelasse.

— Wczoraj wieczór, naprzykład, po obiedzie, około godziny dziewiątej, podniosłem firanki w gabinecie, by popatrzeć na park Monceau... Księżyc świecił jasno... Muszę przytem zaznaczyć, że szef tajnej policji ostrzegał mnie przed wyglądaniem przez okno, nawet zamknięte... Jednakże odcięcie mnie od świata jest zbyt nużące... Rozsunąwszy firanki nie stanąłem na wprost okna, tylko z boku... Nagle pękła szyba na wysokości mojej głowy, a jednocześnie usłyszałem wystrzał w parku... O! niech się pan przypatrzy!...

Barnèze zbadał szybę, w której widniał mały, okrągły otwór. Strzał musiał być oddany do okna z bliskiej odległości.

— Czy pan nikogo nie zauważył w parku?

— Absolutnie nikogo! Prawdopodobnie mój niedoszły morderca ukrywał się za drzewem!...

— Czy pan znalazł kulę?... Powinna ona była utkwić w ścianie, nawprost okna!...

— Proszę... oto ona...

Była to kula browninga, kalibru 38.

— Prócz tego zdarzył się inny wypadek... Dziś rano, po śniadaniu, chciałem zapalić cygaro z pudełka, stojącego na moim biurku... Przy pierwszym zaciągnięciu się stwierdziłem, że cygaro posiada dziwny jakiś aromat... Momentalnie przesłałem je do policji... W jakieś dziesięć minut później zatelefonowano do mnie z policji, że analiza chemiczna skonstatowała obecność w cygarze silnej trucizny... Doza tej trucizny zdolną była zabić dziesięciu ludzi!...

— A co pan zrobił z resztą cygar?...

— Odesłałem je również do zbadania, przyczem okazało się, że reszta była nieszkodliwa...

— Czy jest pan pewny swej służby?...

— Do tego pokoju, z którego od paru dni nie wydaliłem się ani na krok, ma dostęp tylko mój lokaj... Mam do niego bezgraniczne zaufanie... On mi przynosi posiłek... Poznał go pan zresztą przy wejściu... Jest to inwalida wojenny... Stracił oko, kuleje na jedną nogę i ma utrudnioną wymowę, na skutek zatrucia na froncie gazami... Jest on u mnie już 30 lat... Tutaj się nawet urodził, ponieważ jego ojciec był kamerdynerem mojego ojca... Jego nieskazitelna przeszłość zapewnia mi zupełne bezpieczeństwo z tej strony... Cieszy się moim zaufaniem... Jest mi bezgranicznie oddany... Poza nim nikt nie wchodzi do pokoju, gdzie jadam i sypiam... Czuję się zupełnie jak w więzieniu...

— Jestem zadowolony, że dotychczasowe zamachy Héblis nie zostały uwieńczone pomyślnemi rezultatami... Prosiłbym pana bardzo o niewydalanie się poza obręb swego pokoju... Mam nadzieję, o czem przyjemnie mi jest panu zakomunikować, zaaresztowania wkrótce tego bandyty...

— Telefonicznie zawiadomiono mnie z policji o schwytaniu wczoraj wieczorem, na ulicy Raynouard, kilku członków jego bandy... Bezwątpienia, mając ich w ręku, łatwo panu przyjdzie dowiedzieć się o ich okrutnym szefie...

— Niestety!... Héblis jest najwidoczniej niezwykle surowym przełożonym... Strach przed jego zemstą zamknął usta aresztowanych na siedem zamków... Ani prośbą, ani groźbą nie można od nich nic wydobyć... Milczą uparcie i nie odpowiadają na najprostsze nawet pytania...

— To straszne! Dzień, w którym się dowiem o śmierci lub straceniu tego bandyty, Héblis, będzie najszczęśliwszym dniem w moim życiu!...

— Mam nadzieję, że się pan wkrótce doczeka tego szczęścia!...

. . . .

Tego samego dnia, prawie że o tej samej godzinie co Barnèze, rozmawiał z panem Darbelasse, Lucyna była zajęta urządzeniem swojego nowego mieszkanka, wynajętego dla niej na rue Nicola. Do pokoju weszła gospodyni, oświadczając, że przyszedł funkcjonarjusz centrali telefonicznej z zapytaniem, czy aparat, założony wczoraj, dobrze funkcjonuje.

Lucyna wyszła do przedpokoju, gdzie oczekiwał monter. Wygląd jego uczynił na niej dobre wrażenie. Jednakże od chwili porwania przez Héblis i jego bandę, odnosiła się do każdego z niedowierzaniem. To też zażądała okazania legitymacji służbowej. Przedstawił papiery inspektora telefonów.

(Dalszy ciąg na str. 21-ej).





PRENUMERUJCIE 7 DNI

KWARTALNIE 13 NUMERÓW

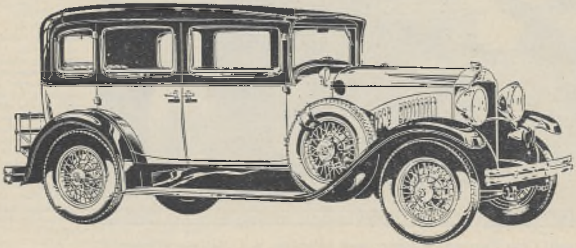
TYLKO 5 zł. 50 gr.

REO

EKONOMICZNY

SZYBKI

TRWAŁY



NIEDROGI WÓZ WYSOKIEJ KLASY

GEN. PRZEDSTAWICIELSTWO SAM. „PACKARD" i „REO"

AMERICAN AUTO

WARSZAWA, BODUENA 4. TEL. 54-43 i 340-40

INFORMACJE — KOSZTORYSY — DEMONSTRACJE

„Coś wisi w powietrzu"

Nowa rewja w „Qui pro quo".

Nie dowiedzieliśmy się, coprawda, z nowej rewji w „Qui pro quo", co wisi w powietrzu, ale zato ubawiliśmy się setnie. Przemiły gawędziarz, Jarosy, swą soczystą swadą, będącą połączeniem francuskiego „esprit", angielskiego „humour" i wiedeńskiego „witz" z warszawskim dowcipem (ze staropolskich fraszek i facecyj zrodzonym) — powiódł swe zastępy wesołków na bój z naszemi troskami i frasunkami, odnosząc walne zwycięstwo. Śmiechu było co niemiara. Pogorzelska i Tom, Dymsza i Krukowski, Lawiński, Minowicz i Żelski bombardowali nas huraganowym ogniem wesołości, żartu i satyry. Któżby się im oprzeć potrafił? Zwłaszcza, gdy Zula Pogorzelska udaje swą starszą lub... młodszą siostrę, a nawet swego... brata! Wówczas okazuje się, że niemożliwa jest „za wielka różnica płci", jak twierdzą Tom i Lawiński w skeczu „Krepuś", który, dzięki tym super-komikom jest małem arcydziełkiem aktorskiem. Dowiódł tego, zresztą, i Dymsza, który po niezrównanej „Lali" z ubiegłej rewji, poszedł jeszcze o krok dalej, popisując się, jako wyraźny już „kobieton" w typie sennych widziadeł Witkacego. No a Krukowski, to zawsze... Krukowski... Wciąż rekordzista oklasków, a więc i tym razem zasypywany bisami, zwłaszcza za kapitalną trawestację piosenki „Sonny boy" (którą można było zatytułować jeszcze dowcipniej — „Senny goj") i to do tego stopnia, że pod koniec już woła zrozpaczonym głosem: „Ja chcę mieć spokój!"...

Lecz i poważniejsza część rewji składa się z obrazków i scen w najprzedniejszym gatunku artystycznym. Na pierwszem miejscu należy tu postawić kilka kreacji Ordonki, z których co jedna — to lepsza. Ze zdumieniem i uznaniem musimy stwierdzić, że ta utalentowana artystka wciąż jeszcze się doskonali, nie stojąc na miejscu i rozwijając się wszechstronnie. Najbardziej podobała nam się w „Buncie", pięknej scenie pantomiczno - tanecznej, pełnej wyrazistości gestycznej. Bardzo ładnie wykombinowała swą „Łabędzią pieśń", z powodzeniem wywiązała się również z nastrojowych piosenek, wykonywanych przy akompanjamencie chóru Dana, robiącego coraz większe postępy, dzięki finezyjnej muzykalności swego kierownika. Podobała się też ogólnie bardzo inteligentna recytacja Kalinówny oraz śpiew Terne.

„Tacjanki", jak zwykle, promieniały wiośnianą radością życia i pracowały z dużą starannością, ujawnioną zwłaszcza w klasycznym „Papillon". Górska i Arkadi odtańczyli bardzo składnie swój duet. Trzebaby te dwa, tak bardzo ciekawie kontrastujące typy wydatniej spożytkować, a będzie to wielce interesująca duetowa kombinacja taneczna. W kostjumach „czekowych" (bez pokrycia) jest im obojgu bardzo, jeżeli tak rzec można, do twarzy...



Żelski, Krukowski i Zula Pogorzelska w ostatniej rewji Qui-pro-quo, p. t. „Coś wisi w powietrzu". (fot. Brzozowski).

H. Liński.

Piękna Pani Radzi Swoim Siostrom

„Moje przyjaciółki były zdumione, gdy im oświadczyłam, że myję stale swoje włosy Pixavonem. Muszę dodać, że posiadam piękne, jasne, blond włosy. Wiele pań jest w błędzie, uważając Pixavon jako środek szkodliwy dla jasnych włosów. Ja byłam innego zdania i miałam rację, czego najlepszym dowodem rezultat jakim mogę się poszczycić. Dzięki stosowaniu Pixavonu, włosy moje stały się niewypowiedzianie miękie i jedwabiste, nie zmieniając bynajmniej jasnego koloru, a na konkursie włosów, do których mycia używa się Pixavonu, uzyskałam pierwszą nagrodę. Obecnie, również stosuje się Pixavon-Shampoon, który posiada tę samą wysoką wartośś co i Pixavon; sprobujcie, a będziecie równie zadowolone.



PIXAVON

Obecnie też PIXAVON-SHAMPOON!

CZARNA SZPILKA

Lucyna oświadczyła inspektorowi, że aparat funkcjonuje dobrze. Inspektor podziękował jej uprzejmie za informacje, poczem, zabrawszy swoją walizeczkę z narzędziami, wyszedł.

Jednakże Lucyna odczuła jakiś, niczem niewytłumaczony, niepokój. Z niecierpliwością oczekiwała Barneza, który obiecał przyjść na śniadanie.

Spojrzała na duży, normandzki zegar, stojący w przedpokoju. Głośne tik-tak zwiastowało upływający w niepokoju czas. Lucyna zauważyła, że zegar wskazuje godzinę piątą, chociaż była dopiero kwadrans na pierwszą. Widocznie się śpieszył. Ponieważ zegar miał około dwuch metrów wysokości, Lucyna weszła na krzesło i przesunęła wskazówki na właściwą godzinę.

Kwadrans na pierwszą!... Barneze obiecał przyjść o dwunastej!... Dlaczego się spóźniał?... Zawsze był tak punktualny!... Lucyna otworzyła okno i oparła się o parapet... Pilnie przyglądała się każdemu przechodniowi, jednakże w żadnych z nich nie poznawała tak drogiego swemu sercu człowieka...

PODARUNEK WOJENNY.

Barneze przyszedł za dziesięć minut pierwsza. Słysząc jego dzwonek, Lucyna wybiegła na powitanie do przedpokoju.

— Niech mi pani wybaczy, sądziłem, że przyjdę punktualnie... Zatrzymano mnie dłużej w Prefekturze.

— Taka byłam niespokojna... Otoczony jest pan tyloma niebezpieczeństwami!... Przytem, nie spóźnił się znów pan tak bardzo — powiedziała Lucyna, spoglądając na zegar...

Nagle wykrzyknęła zdziwiona:

— To nadzwyczajne!... Przesunęłam wskazówki na godzinę kwadrans na pierwszą, a one, od tej pory nie posunęły się naprzód!... Ciągle wskazują kwadrans na pierwszą!... A zegar przecież idzie!... Niech pan posłucha!...

Barnez podszedł do zegara, nadsłuchując...

Nagle, na twarzy jego odmalował się przestrach. Cisnął na ziemię kapelusz, laskę i palto, otworzył gwałtownym ruchem drzwi zegara...

Wahadło zegara wisiało nieruchome...

Na spodzie szafki stało nieduże, okrągłe pudełko, na którem widniał cyferblat zegarowy...

Barneze wyjął delikatnie pudełko i postawił na stole.

Tik-tak stało się wyraźniejsze. Wychodziło ono nie z zegara, ale z pudełka...

(d. c. n.)

ELIZABETH ARDEN,
LONDON



zawiadamia iż jej agentura w Warszawie, Perfumerja „Floralys" Trębacka 3, telef. 409-46 udziela bezpłatnych porad sposobu poznania i przeciwdziałania uchybieniom urody, jak należy dobierać i stosować w domu preparaty „Venetian" dla poszczególnych indywidualnych potrzeb. Właścicielka wspomnianej agentury uzyskała odpowiednie wyszkolenie w Salonach Kosmetycznych Elizabeth Arden.

Liljowe mleko piękności

od 80-ciu lat znany zespół środków kosmetycznych LOHSEGO pielęgnuje skórę i darzy Panią naturalną, świeżą, pastelową cerą..... Płyn

ODELYS

łączy dobry puder z wypróbowanym i jedynym w swoim rodzaju środkiem kosmetycznym. ODELYS (również w formie Kremu) wraz ze słynnem Mydłem Liljowo-Mlecznem LOHSEGO, jest tajemnicą pięknej cery wielu kobiet. Próba przekona i Panią..... Do nabycia wszędzie za zł. 6.50.



Liljowe mleko piękności
Eau de Lys
Gustav Lohse

Dla każdej cery właściwa karnacja



Niezbędnym drobiazgiem noszonym w kieszeni wśród wielu innych jest lampka

Centra-Mikro

ZDROWIE DZIECKA

POWINNO BYĆ NAJWIĘKSZĄ TROSKĄ. KOCHAJĄCYCH JE. RODZICÓW.

Czekolada oraz kakao PIASECKIEGO, wyrabiane z najczystszych i najszlachetniejszych surowców w fabryce czekolady

A. Piasecki, S. A.

w Krakowie, urządzonej w/g najnowszych zdobyczy techniki, daje dziecku najlepsze siły, które są fundamentem jego późniejszego rozwoju.



ATRAMENTOWA PLAMA

(Dokończenie ze str. 8-ej).

W kurytarzu, na niskim przewróconym wózku, spał skurczony „tragarz". Wielką, brudną ręką podparł siwą głowę i chrapał, otworzywszy usta, do których zaglądały duże, czarne muchy.

— Ot, szczęśliwiec — śpi...

Pokiwał Krymsin głową i wyszedł na podwórko. Zabudowania gospodarskie, pokurczone i porośnięte mchem starości, były pozamykane. Poza torem kolejowym i nędznym płotkiem, otaczającym stacyjkę, ciągnęła się wielka, słońcem zalana płachta stepów.

— Żeby ten pociąg wreszcie przyszedł — wyszeptał sam do siebie poczmistrz.

*

Słońce zachodziło. Powoli rozpalała się czerwona łuna zachodu, która zkolei ustąpiła głębokiemu granatowi, ukwieconemu miljardami srebrzystych gwiazd.

Na stacyjce zapalono lampy naftowe. Zdaleka mrugały filuternie zielone światełka semaforów.

Niecierpliwie tętniący dzwonek oznajmiał bliskość pociągu.

Krymsin usiadł na ławce peronowej i... czekał.

Lekki dreszcz wstrząsał jego ciałem, a myśli kotłowały się bezładnie...

Nagle... daleko, daleko wśród stepów, zajaśniał maleńki punkcik, który stopniowo rozrastał się coraz bardziej, aż zamienił się w dwa wielkie, świecące dyski.

Przeraźliwy gwizd rozdarł powietrze.

Pociąg zbliżał się do stacji.

Poczmistrz zerwał się z ławki, serce waliło jak dzwon alarmowy. Równocześnie z ochrypłym gwizdem lokomotywy, zadźwięczały gdzieś w dali dzwonki i grały coraz donośniej, coraz bliżej, jakgdyby ktoś, pragnął dojechać na stację, na wyścigi z pociągiem.

I rzeczywiście — w chwili, gdy lokomotywa z łoskotem przeleciała przez jasno oświetlony peron, na stację wpadła trójka koni.

— No, no — pomyślał Krymsin i uczuł dziwny, przejmujący dreszcz.

Lokomotywa zwolniła biegu, jasno oświetlone okna przesuwały się obok poczmistrza coraz leniwiej, aż wreszcie — znieruchomiały.

Krymsin stał przed wagonem pierwszej klasy.

W tej chwili wszedł na peron wysoki, przystojny mężczyzna, w ciemnym płaszczu podróżnym.

Krymsin spojrzał na niego z nienawiścią.

Podniósł się na palcach i zajrzał do wagonu.

Na czerwonych, aksamitnych poduszkach przedziału leżał duży, słomiany kapelusz, obok, na wieszadle wisiał popielaty płaszcz i zielony szal.

— To rzeczy Lizy — szepnął do siebie Krymsin i skierował się w stronę platformy, skąd rozlegał się drżący głosik:

— Tutaj, tutaj, Aleksy Piotrowiczu.

Człowiek w ciemnym płaszczu wszedł do wagonu.

— Teraz pocałowali się — pomyślał poczmistrz i zajrzał przez okno.

Zobaczył otwierające się drzwi. Najpierw weszła Liza, wesoła, roześmiana, a za nią — on, milczący, poważny, jakgdyby namaszczony. Liza zamknęła drzwi przedziału, objęła Timenkowa za szyję i... zaczęli się całować.

Krymsin patrzał.

Patrzał uporczywie.

Nie zdawał sobie z niczego sprawy, nic nie słyszał. Jęczał cicho, jak małe dziecko i żarł oczyma tych dwoje.

Nie słyszał nawet trzeciego dzwonka i szczęku buforów oraz łańcuchów...

Pociąg ruszył. Okna zaczęły się wolno przesuwać i znikać w czerni nocy.

Krymsin biegł obok wagonu i patrzał...

Liza i Timenkow trzymali się za ręce. Radośni, roześmiani. Rozchylone usta ukazywały w uśmiechu młode, zdrowe zęby...

Peron skończył się.

Poczmistrz biegnąc — potknął się i upadł na ziemię.

Pociąg przemknął obok niego i zniknął w czarnej dali, złośliwie uśmiechając się czerwonem okiem zawieszonej na ostatnim wagonie latarni.

Krymsin długo patrzał, poczem wsadził ręce głęboko w kieszenie, zacisnął stare, spróchniałe zęby i poszedł ku stacji... W swoim pokoiku, w oddziale pocztowym otworzył worek z listami, usiadł za stołem i rozpoczął codzienną pracę.

Ręce jego, jak codzień od tylu, tylu lat chwytały list za listem. Ale zamiast stosu korespondencji, oczy poczmistrza widziały okno przedziału i dwie całujące się głowy na tle purpurowego aksamitu.

A może to tylko sen... Może wcale nie było ani Lizy, ani Timenkowa, ani przedziału o purpurowem obiciu...

— No, już dosyć — rzekł Krymsin — już pocałowaliście się. Dosyć...

Teraz znów pochwyciły się ręce, zapatrzyły w siebie oczy, roześmiały usta.

Na jej różowych policzkach ukazały się śliczne dołeczki, mały nosek skurczył się od śmiechu.

Poczmistrz przetarł dłonią czoło.

— Pocałujcie się jeszcze raz — rzekł podnosząc się i przechylając przez stół.

Ale dwa profile nie mogą się zbliżyć, między niemi ciemnieje bronzowy kwiat tapety i ogromna, czarna plama. Krymsin otwiera usta i dygocąc z pasji krzyczy:

— Znikaj, przeklęta...

Zniknęły obie głowy...

Chwycił kałamarz i z całą siłą rzucił go ku plamie.

Kałamarz rozbił się na drobne kawałki, a atrament małemi strumyczkami począł ściekać po tapecie.

Zamiast niewielkiego punktu, zakwitła na ścianie olbrzymia, czarna plama.

— Czary, czy co? — ryknął poczmistrz.

Grube perełki potu wystąpiły mu na czole

— Do stu par djabłów!!! Nie jestem przecież żadnym urzędnikiem! Pluję na taką robotę...

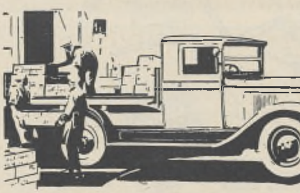
Obłąkane dłonie poczęły drzeć listy, zwijać w kulki i ciskać ku czarnej plamie.

Na usta wystąpiła piana.

Ostatkiem sił splunął w stronę czarnej plamy...

*

A następnego dnia wczesnym rankiem, odwieziono Krymsina do szpitala dla obłąkanych...



Tani i pewny transport.

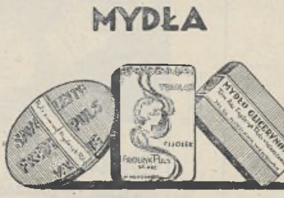
Transport motorowy najlepiej opłaca się, gdyż jest pewny, dogodny i tani. 6 cyl. motor Chevroleta gwarantuje punktualną dostawę, bez względu na stan dróg i pogodę. Nadwozie nadaje się do wszelkiego rodzaju przewozów, gdyż daje się dowolnie zamieniać na samochód otwarty, samochód przykryty budą brezentową, na platformę, czy wywrotkę. Jednocześnie konstrukcja ta ułatwia ładowanie i wyładowywanie.

Cena podwozia 1 ³/₄ ton. wynosi **Zł. 8.950,** loco fabryka Warszawa. Wyrób General Motors.

CHEVROLET 6 Cyl.

PULSA

MYDŁA



Przemysł Mydlarski i Perfumeryjny Fr. Puls, S. A. w Warszawie.





PRZEDSTAWICIELSTWO:

MIECZYSŁAW TULEJA

Warszawa, Solec 48a. Tel. 303-56

KALENDARZYK TYGODNIOWY.

8 N. Niepokalane Poczęcie.
9 P. Walerji.
10 W. N. M. P. Loretańskiej.
11 Ś. Damazego.
12 C. Aleksandra.
13 P. Łucji.
14 S. Dyoskora i Herona.

TEATRY

Wielki: dn. 5 b. m. „Carmen"; dn. 6 b. m. „Faust" i „Noc Walpurgij"; dn. 7 b. m. „Opowieści Hoffmana"; dn. 8 b. m. o godz. 3 pp. „Hrabina"; o godz. 8 wiecz. „Lakme"; dn. 9 b. m. przedstawienie zawieszone; dn. 10 b. m. „Pajace i balet".
Narodowy: Codziennie „Kres Wędrówki".
Letni: Codziennie „Panienka z Dyplomacji".
Polski: Codziennie „Rewizor".
Mały: Codziennie „Czarujący Weteran".
Nowy: Codziennie „Anna Christie".
Ateneum: Codziennie „Bronx-Express".
Elizeum: Codziennie „Bóg, szatan i człowiek".
Morskie Oko: Codziennie rewja p. t. „Cała Warszawa".
Qui-Pro-Quo: Codziennie rewja p. t. „Coś wisi w powietrzu".
Cyrk: Codziennie „Walki francuskie".

KINA

Colosseum: „Ulica potępionych dusz".
Hollywood: „Podwójne życie".
Apollo i Filharmonja: „Szlakiem hańby".
Wodewil: „Kobieta, która grzechu pragnie".
Palace: „Kobieta na Księżycu".
Quo Vadis: „Księżniczka Olali".
Pan i Capitol: „Magdalena".
Casino: „Prawo męża".
Stylowy: „Kobieta".

Odciąć, dokładnie wypełnić i przysłać do redakcji.

Konkurs na „Najpiękniejsze dziecko polskie"

Głosuję na dziecko Nr. ....

Imię i nazwisko głosującego:

....

....

Adres: ....

....

....

Udział w głosowaniu biorą rodzice oraz wszyscy bez wyjątku czytelnicy „7 DNI"

Głosować należy na dzieci, których fotografje, wybrane i dopuszczone przez sąd konkursowy, były zamieszczone w Nr. Nr.: 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40 i 41 „7 DNI".

Każdy kupon liczy się jako 1 głos. Każdy głosujący może nadsyłać dowolną ilość kuponów.



Niebywałe nagrody: I — 3000 zł., II — 2000 zł., III — 1000 zł. i t. d.

Kupon ważny w przeciągu dni 8 od ukazania się numeru niniejszego w sprzedaży



GRZEJNIKI ELEKTRYCZNE
marki BRABORK
czajniki, rondelki, żelazka, kuchenki, poduszki elektryczne, nagrzewacze do karbówek
polecają:
Bracia BORKOWSCY
S. A.
Warszawa, Jerozolimska 6.
Wykonanie eleganckie, odpowiednie na upominki gwiazdkowe.
Sprzedaż we wszystkich krajowych firmach elektrotechnicznych i składach naczyń kuchennych.

NAJWYKWINTNIEJSZE PERFUMY
"LILAS ROYAL"
Parfumerie LUBIN
PARIS
Do nabycia w perfumerjach i składach aptecznych

Pełną skalę głosu
do najwyższego

od najniższego
Zapewnia tylko znakomity
MARCONIVOX
Warszawa, Marszałkowska 142.

KUPON DO GŁOSOWANIA NA ODWROCIE

ZOFJA DROMLEWICZOWA.

Encyklopedja filmowa

F. FOTOGENICZNOŚĆ.



Czyżby i starsze „balzaki" miały szanse? Uspokójmy się — to tylko charakteryzacja.

Jedna z odmian groźnej, epidemicznej choroby, panującej pod nazwą „filmomanja" rozpoczyna się od usilnego odwiedzania kina, od rozmów fachowych, od zbierania pocztówek aktorskich. Kończy się tragicznie. Człowiek, ogarnięty filmomanją, porzuca własny fach, domowe ognisko, zostaje reżyserem, aktorem lub przynajmniej scenarzystą filmowym. Fotogeniczność jest stosunkowo lekką fazą tej choroby. Fotogeniczne są obecnie wszystkie kobiety na świecie, fotogeniczne są te lub tamte suknie, fotogeniczne są wielkie psy, płaczące dzieci. Każda kobieta ładna uważa się za fotogeniczną. Każda kobieta brzydka pociesza się, że chociaż nie jest ładną, jest jednak fotogeniczną. Jeżeli chce się zdobyć kobietę, należy jej powiedzieć, że jest stworzona do grania w kinie. Każda pensjonarka bez wyjątku marzy o tem, że, wychodząc na ulicę spotka już na schodach nieznanego pana, który okaże się słynnym reżyserem filmowym i który, olśniony jej postacią, krzyknie z zachwytu:

— Jaka pani fotogeniczna! Oto kontrakt. Angażuję panią do następnego mego obrazu.



Wszechstronna fotogeniczność. Laura la Plante na czarno.

Zresztą marzą o tem nietylko pensjonarki. Jest to również marzenie wszystkich kobiet bez różnicy wieku, przesiadujących przez długie godziny w warszawskiej „Italji".



Marzenie o fotogenicznych nogach... *(fot. Fox).*

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE i WILNIE

Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50; roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałka Focha 2. Tel. 525-85 i 72-85. Konto P. K. O. 19-447. Przedstawicielstwo na Francję: L. Sładowski, 98 Bd Blanqui, Paris, XIII.

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.

Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, 1/2 strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów. 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy. Klisze ogłoszeniowe zajmujące więcej niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe. Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny przyjmuje interesantów w lokalu redakcji: w środy i piątki od godz. 17 do 19-ej (Oprócz dni świątecznych).

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka z ogr. odp.

Drukarnia Zakładów Wydawniczych M. Arct, Sp. Akc. w Warszawie, Czerniakowska 225.